Nr. 3. Lwów, dnia 15. marca 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków. | ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO. | WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Antoniego Pisulińskiego.

(Ciąg dalszy).

Makololowie, pod których firmą egzystuje państwo dość rozległe — nie są właściwymi mieszkańcami tej ziemi. Tutejsza ludność są Mangandżowie. Makolole są klasą rządzącą, i przywędrowali tu z nad górnej Zambezy, towarzysząc doktorowi Livingstonowi w podróży jego do jeziora Njansa. Po powrocie Livingstona do Europy, pozostali nad Szirą a zawojowawszy kraj tutejszy, dynastyi swojej dali początek. Od czasu tego minęło lat dwadzieścia ośm a władza w ich rękach się utrzymała, dzięki głupocie i lenistwu tutejszego ludu.

W czasie, kiedym ich odwiedzał, kraj ten był podzielony na kilka dystryktów, nad któremi stali w charakterze udzielnych książąt, jeszcze ci sami Makololowie, którzy przed laty trzydziestu o władzę walczyli. Najstarszym między nimi był Ramakukana, czyli jak go tu nazwano Kasisi, i tego wówczas uważano za głowę Makololów.

Pierwszą miejscowością makololską, jest Cziromo. Leży ono po lewym brzegu na wystającym cyplu, który się utworzył tu przez zlew Sziry i Ruo. Kilka palm „borassui" rosnących nad wodą anonsuje tę miejscowość już z daleka. I każdy podróżujący z przestrachem ją wita, życząc sobie być jak najprędzej za jej granicami.

Zła reputacya Cziroma datuje się nie od dzisiaj. Od dawna już rabowano i obdzierano podróżnych, od czasu zaś, gdy zginał Amerykanin Fenwik, wieś ta stała się miejscem postrachu. I nie można sobie wyobrazić gorszych ludzi od ludzi z Cziromu. Złodzieje i pijaki, czyhają tylko na sposobność, aby wymusić coś na podróżnym i nie oszczędzają tak samo czarnego, jak i białego, a chociaż Kasisi za interwencyą Anglików wziął ich nieco w kordę, mimo tego trzeba zawsze mieć się na ostrożności.

Nocując tu na brzegu, przygotowałem się na wszelki wypadek. Czuwałem też sam noc całą, bo moi wioślarze, utrudzeni całodzienną pracą, która nawiasem mówiąc nie jest drobnostką, spali snem kamiennym.

D. 18 czerwca. Noc przeszła spokojnie, Cziromo zdawało się spoczywać smacznie i żaden z mieszkańców nie zjawił się nad rzeką. Dopiero kiedyśmy ruszali z miejsca, przybiegło kilku chłopaków nad brzeg i jęło nas interpelować o coś, czego ja mimo tłumaczenia kucharza, zrozumieć nie mogłem. To jednak nie powstrzymało nas w drodze, i pojechaliśmy naprzód. Wnet Cziromo znikło nam z oczu.

Po obu stronach rzeki mamy znów taki sam krajobraz jak za Morambalą, bagna i lasy traw. Są one jednak o wiele

ciekawsze od poprzednich, gdyż w głębi ich żyją stada zwierza rozmaitego, a nawet i słonie. Przed laty trzydziestu było ich tu mnóstwo, a w opisach Livingstona znajdujemy wzmiankę o trzodzie, którą on własnemi oczyma oglądał, a która mogła liczyć do ośmset głów. Naturalnie dziś, po rozpowszechnieniu broni palnej między Kaframi, liczba ich tu się zmniejszyła, zawsze jednak miejscowość ta wabi do siebie strzelców słoni, tak białych jak i czarnych. Mokre te prerye, możliwe tylko do zwiedzania w porze zimowej, znane są między Europejczykami pod nazwą „Elephant-marshes“, [1]) którą to nazwę otrzymały prawdopodobnie od pierwszych podróżników, Anglików. W języku krajowym zwą je „Dabani“, od rzeczki płynącej tędy do Sziry.

Moczarowata ta równina, poprzerzynana licznemi strumieniami, którychbyś darmo szukał w porze suchej, zarosła jest w miejscach niższych trawą, zwaną tu „mabande“, główne pożywienie słoni i bawołów. W miejscach wyższych rosną dzikie palmy, akacye gumowe i kolczaste lasy nędznego wejrzenia.

Wyborna pasza zwabia tu w porze suchej, kiedy strumienie w górach wyschły, a trawy spłonęły, tysiące zwierzyny czworonożnej. Antylopy rozlicznych gatunków, dziki. zebry, bawoły i słonie, gromadzą się na tej olbrzymiej płaszczyźnie. Brzegi Sziry, oraz nizkie dolinki w pobliżu wód, gdzie hipopotamy niczem niezamącone prowadzą życie, są zupełnie spasione przez te zwierzęta, a liczne ich ścieżki, krzyżujące się tu w rozmaitych kierunkach, świadczą o ich liczbie.

Tu i tam spotyka się gąszcze trzcinowe, tak zwane tu „bango“. Szczególnie wyspy Sziry są niemi tak zarosłe, iż słoń umykając przed strzelcami, swobodnie tam ukryć się może, a nie każdy znajduje na tyle odwagi, by daleko w te lasy się zapuszczać.

Wszystkie suchsze miejsca jeżą się kopcami termitów, tych niezmordowanych pracowników afrykańskich, a myśliwy spieszy się do nich z zadowoleniem, by z ich wierzchołka po okolicy się rozglądnąć.

* * *

Z pierwszymi promieniami słońca, które się przedzierały przez lekkie opony mgieł, znaleźliśmy się przed wyspą, gdzie według opowiadania, ów Amerykanin miał być zabitym przez ludzi z Crirumo.

Reminiscencye takie nie usposabiają wesoło, zwłaszcza, gdy się ma jeszcze w myśli świeższe wypadki tego rodzaju. I żywo stanęła mi przed oczyma scena ze znajomym mi dobrze Austryakiem, która miała miejsce w tym kraju roku zeszłego, a skończyła się tragiczną tegoż śmiercią. Dla błahego powodu zamordowano go i obłupiono. rzucając ciało na pastwę krokodyli. Według głuchych wieści, jakie krążyły naówczas pomiędzy czarnymi, serce jego miało być zjedzonem. Miejsce to mamy mijać pojutrze.

Kiedyśmy okrążali wyspę, gdzie rzeka tworzy wielki basen, hipopotamy powitały nas głośnem parskaniem. Stada kaczek „suziri“ raz wraz zrywały się przed łodzią, a czarne ibisy, ciągnąc gdzieś na żer do Dabani, żałobnem wołaniem napełniały powietrze.

Krzaki i drzewa nadbrzeżne czerniały od licznych kormoranów i wężogłowów, a tu i tam pośród traw, wysuwała się cienka postać olbrzymiej czapli niebieskiej, odbywającej czaty.

[1]) Elephant-marshes — bagna słoni.

Z karabinem w ręku, oparty o przód łodzi, śledziłem za hipopotamami, których głowy co chwila dokoła nas się wychylały. Byłem w obawie o moją łódź, bo taby z pewnością dobrego uderzenia nie wytrzymała, a zwierzęta te zdawały się mieć miny wcale nie uspakajające. Nie strzelałem jednak, nie chcąc ich drażnić, i pokazało się, że uczyniłem bardzo dobrze. Hipopotamy z wdzięczności nie przekroczyły granic zwykłej kurtoazyi, winnej białemu. I tak cali, z dobremi apetytami, stanęliśmy w południe na wypoczynek.

Zaczęło się jak zwykle od niecenia ognia. Jeszcze czarni znosili paliwo, które tu tylko w formie suchych trzcin mieć było można, a kucharz już począł garnki rozkładać. Widać zabierał się do gotowania wspaniałego obiadu, kiedy się wziął tak rychło do swojej czynności. Zwykle bowiem należało go napędzać do tego. I z miłą wdzięcznością przyglądałem się tym przygotowaniom, bo wyznaję, że podróżując od rana o herbatce i sucharku angielskim, mogłem się uważać za głodnego.

Tymczasem żywe nasze zapasy wcale nie były obfite. Reprezentowała je jedna, jedyna mizerna kura, typ czysto afrykański, choć z powierzchowności całkiem do naszych podobna. Posiadają one tę tylko niedogodność, że zwykle na nich nie ma mięsa. „To nie wystarczy“ — pomyślałem sobie: „należy coś ubić“ — i chwyciwszy za karabin i pas z ładunkami, poszedłem zrekognoskować okolicę.

Przedarłszy się przez trzciny, które niejako zamykały wejście od brzegu, począłem się wciskać w gęste trawiska, sięgające mi powyżej głowy. Ta szumiąca puszcza pociągała mię ku sobie siłą tajemniczości. Byłbym dał wiele, aby módz zobaczyć wszystko, co w jej wnętrzu się znajduje, zobaczyć, czy rzeczywiście są tam słonie, za któremi się wybrałem, i jak one wyglądają. To też spostrzegłszy pierwszy wzgórek termitów, wydrapałem się nań z pospiechem.

Prerya, jak jezioro jakie ogromne, ciągnęła się od gór do gór. Pożółkłe trawy, uginając się pod powiewem wiatru, robiły wrażenia fal morskich, z pod których, niby łódki rybaków, wychylały się czarne kopce termitowe, raz mniej, raz więcej, w miarę, jak wiatr zawiał. Po brzegach tego suchego jeziora widniały korony palm. Pnie ich gubiły się w drgającej atmosferze, spowodowanej szybkiem parowaniem wód; na horyzoncie zaś czerniała jakaś linia długa i szeroka, zapewne miejsca, gdzie trawę już spalono, a barwa ich dziwnie odbijała od reszty otoczenia.

Na te spalenizny, czyli jak je tu zwią, „rupia“, skierowałem mój dalekowidz; ale zanim mogłem zapewnić się co do przedmiotów, które tam zobaczyłem, bystre oko Kafra już zwierzynę wytropiło.

— „Njama“! „Njama“! [1]) — zawołał cicho, wskazując palcem na otwartą polankę, nie dalej jak 500 kroków przed nami. — „Niakozwe“, [2]) „ambiri“! „ambiri“! [3]) i podskoczył z radości.

Teraz i ja je ujrzałem. Stadko z kilku sztuk złożone pasło się nad brzegiem małego jeziorka. Stary kozioł, zbrojny w potężne rogi, szedł przodem, prowadząc trzodę. Biały półksiężyc, który chyba tylko z wybryku natury nie u szyi został umieszczony, świecił na ciemno-szarej jego skórze. Stawał co chwila, potrząsał głową, niby od much się odpędzając i z uwagą wpatrywał się w kierunku wiatru.

[1]) Njama — mięso, zwierzyna.
[2]) Niakozwe — antylopa z gatunku Cobus elipsiprimnus.
[3]) Ambiri — dużo.

Za nim sznurem postępowało kilka samic i dwa cielątka nie szare, jak ich rodzice, ale prawie czerwone.

Na ten widok serce we mnie zadrgało. Żyłka myśliwska nie pozwoliła na długie medytacye. Bez szelestu zsunąłem się z pagórka i zanurzyłem w wysokie trawy. Na szczęście wiatr sprzyjał i wkrótce znalazłem się od stadka na odległość kilkudziesięciu kroków. Tu trawa była trochę rzadsza i zdeptana; jeszcze kilka kroków i mogłem już strzelać. Niestety, nadeptałem na trzcinę, ta trzasła i zaalarmowała antylopy. W raptownych susach poskoczyły naprzód, poczem zwróciły się i z uwagą poczęły się patrzeć w miejsce, gdzie stałem ukryty.

Nie było czasu do stracenia. Wybrałem na cel najbliższą kozę i wypaliłem. Poczem wszystko znikło w trawach Byłem pewny, że chybiłem.

Z zafrasowaną miną wsadzałem nowy patron do lufy patrząc bokiem na mojego chłopaka, który również myśląc, że spudłowałem, składał winę na wiatr. Ja zaś całą winę przypisywałem mojej gorączce i robiłem sobie wyrzuty po cichu. Aby chybić tak wielką antylopę na odległość kilkudziesięciu kroków, to trochę za wiele. Ale pocieszyłem się wkrótce. W chwili, kiedy miałem się ruszyć i wracać do obozu, usłyszałem szelest w trawach, potem cichy bek i przyspieszony oddech.

Skoczyłem do miejsca tego z silnem biciem serca. Koza moja, trafiona w górną część łopatki, leżała w ostatnich konwulsyach. Nie poszła więcej jak pięć kroków od miejsca, gdzie strzał dostała; więc mimo pospiechu trafiłem dobrze.

„Uafa“! „Uafa“![1]) — powtarzał Mazarczyk — „teraz nam już nie ucieknie!“ I jakby w obawie, by naprawdę nie uciekła — podrzynał gardziel tępym swym nożem.

Po tak szczęśliwie stoczonej bitwie, wypoczynek był zasłużoną nagrodą. Chłopaka wyprawiłem po resztę ludzi, sam zaś usadowiłem się na kopcu termitowym i jąłem napowrót obserwować okolicę. Za pomocą szkła dojrzałem w oddali liczne stadka takich samych „niakozwe“ i kilka zeber, a na horyzoncie jakąś czarną ruchomą linię, którą za stado bawołów uważać mogłem. Zato od strony rzeki lasy trzcin zasłaniały widok, a trawa między mną a brzegiem tak była gęsta i wysoka, iż zdawało się prawie niemożliwem, by tam cię coś mogło ukrywać. I złożywszy szkła, zacząłem już złazić z pagórka.

Ale coś mię wstrzymało. Jakby jakiem przeczuciem wiedziony, zwróciłem wzrok mój raz jeszcze ku trzcinom. Na odległości dość znacznej, kilka czarnych punktów dążyło na preryą. Nie mogąc poznać coby to były za zwierzęta, spróbowałem szkieł, ale że słońce właśnie z tej strony padało, na razie nic rozróżnić nie mogłem. Punkty te posuwały się powoli, znikając od czasu do czasu w zagłębieniach terenu, aż wydostawszy się na spalone miejsca, powędrowały jeden za drugim.

Teraz dopiero spostrzegłem, że to były słonie Wielkie ich uszy powiewały jak wachlarze z obu stron głowy, trąby były na dół spuszczone, jakby czego szukały. Widocznie spłoszono je, bo nie zatrzymywały się ani na chwilę, ale szybkim krokiem dążyły do lasu.

Podczas tej obserwacyi kapelusz zleciał mi z głowy, a słońce piekło w sposób nieludzki. Pot spływał strugami po twarzy, a ja, jak zaczarowany, stałem ciągle z szkłami zwróconemi w kierunku słoni i oczu od nich oderwać nie mogłem. Widziałem je, jak się szybko wprzód posuwają, maleją i w ledwie dostrzegalne plamy roztapiają.

Jakże chętnie byłbym pogonił za stadkiem, gdybym był wiedział, jak się wziąć do rzeczy! Niestety, karabin wielki był w łodzi, naboje gdzieś aż na dnie skrzynki, a człowieka, któryby potrafił tropić, nie znalazłby między moimi Murzynami. Trzeba było rozstać się z tym zamiarem, zostawić słonie ich losowi i pocieszać się myślą, że się kiedyś jeszcze z nimi zdybię.

W tym czasie Mazarczyki, którzy się byli zabrali do ćwiartowania antylopy, ukończyli swoją robotę. Mięso związano i umocowano na pondach, części lepsze osobno dla mnie, i ruszamy z odwrotem. Chłopcy cieszą się, iż się doczekali „kisawi“,[1]) klaszczą w dłonie i spiewają. Tylko ja ciągnę smutny za nimi, mając głowę nabitą słoniami, i staram się utopić moje troski w dymie cygaretowym.

Około trzeciej jesteśmy znów w drodze. Powoli przesuwamy się po głębokiem korycie, budząc ze snu krokodyle rozciągnięte po ławicach. Słońce pali jeszcze więcej niż przed południem, a chatka moja zmienia się w prawdziwy piec piekarski. Dopiero z zachodem słońca ochłodziła się temperatura, a gdyśmy dobijali do brzegu, dobrze już pozimniało.

Porozpalano też natychmiast ognie, a marynarze obsiedli kręgiem garnki, gotując wieczerzę. Kawały mięsa piekły się na rożnach z trzcin, a woń pieczystego wprawiała ich w doskonałe usposobienie. Gwarno było niezmiernie, dowcipkowano bez końca, a nawet chciano jakiś nadzwyczajny spiew zaintonować, ale ja temu przeszkodziłem. Zmieniono zatem temat rozmowy na antylopy, na dzisiejsze polowanie, wynoszono pod niebiosa „muzunga“ i jego karabin.

Nagle zrobiła się cisza; wszystko słucha. Z preryi doleciał jakiś głos podejrzany. To ryknął lew. Ryk ten, z razu gwałtowny, łagodniał stopniowo, niby gubiąc się w przestrzeni, a zakończenie jego ledwie było słyszalnem. Zdawało się, że lew tylko oddycha tak głęboko.

Ryknął znowu! Teraz już głośniej i dłużej. I rozlega się daleko ta muzyka po puszczy, a każdy nadstawia ucho, jak gdyby się obawiał stracić pojedyńczą jej nutę. Jeszcze kilka ciężkich westchnień i serenada skończona.

Czarni zaczynają na nowo przerwaną rozmowę, śmiechy stopniowo wzrastają, a po chwili bawią się znów w najlepsze. Lew daleko, zwierza mnóstwo dokoła, po cóż on by miał ludzi napastować? Zresztą talizmany, które ze sobą wiozą, to najlepsza bezpieczeństwa rękojmia. Wkrótce też ognie pogasły, wieczerza zjedzona, oczy się kleją i raptem cały obóz spi w najlepsze. Tylko „muzungu“[2]) nie mając talizmanu, czuwa, nadstawiając ucha, czy też nie usłyszy ponownego ryku na preryi. Ale nic nie przerywa ciszy nocnej. Spijmy! lew daleko.

D. 19. czerwca. Dzień dzisiejszy nie przyniósł nam nic nowego. Te same niskie i olbrzymią trawą porosłe brzegi, te same ławice piasku, te same krokodyle i hipopotamy, do których się już więcej nie strzela. Wprawdzie lasy palmowe widne już wyraźniej, ale nie mam nadziei, czy się tam dzisiaj dobijemy, bo długa jeszcze droga przed nami, a rzeka kręci się, nie jak wąż, ale jak robak jakiś ohydny.

Deszcz rosił do południa; potem zerwał się silny wiatr i rozgonił chmury. Próbowałem jechać żaglem, ale nie szło sporo, bo rzeka zwraca się w rozmaite strony, a mielizn

[1]) Uafa — zginęła, nie żywa.

[1]) Kisawi — przyprawa z mięsa lub ryby.

[2]) Muzungu — biały człowiek.

mnóstwo. W „Nczaro“, małej miejscowości po prawym brzegu, kupujemy sól, którą tu wygotowują z jeziorek solnych, oraz wino palmowe. To ostatnie dobre, gdy świeże, uzyskuje się przez nacięcie młodych pni palmowych. Po sfermentowaniu staje się kwaskowatem i cuchnie drożdżami. Czarni upijają się niem radykalnie.

D. 20. czerwca. Minąwszy Mbewe, wioskę, gdzie zamordowano owego Austryaka, o którym już wspominałem, stanęliśmy nad Mansą. Jest to mała rzeczka, wpadająca do Sziry z prawego brzegu. Tu rezyduje jeden z książąt makololskich, Malauri, i tego należało odwiedzić. Obrazić takiego władcę nie było bezpiecznie, bo głowy Europejczyków nie były u nich w owym czasie w wielkiem poszanowaniu.

Samej wsi nie widać od strony rzeki, a tych kilka chat, które są u brzegu, są mieszkaniami pilnujących ogrodów. Stolica sama ukryta w głębi lasu i pod ochroną olbrzymich drzew, których korony wyniosłe są drogozkazem dla podróżujących. Tam są pałace jego książęcej mości, tam jego harem, domostwa jego rodziny, ogrody prywatne i składy zboża.

Kiedyśmy przybijali do brzegu, kilka starych kobiet czerpało wodę do naczyń glinianych. Zauważyłem tu, że nie schodziły one do wody, jak to robią w Mazaro, i nie nabierały jej bezpośrednio w garnki, ale wydostawały na brzeg za pomocą tykw, umocowanych na kijach bambusowych. Wyjaśniono mi potem, że czynią to z tego powodu, iż krokodyle w tych stronach są nadzwyczaj żarłoczne, i przenoszą mięso ludzkie nad wszystko inne.

Za mojem zjawieniem się, kobiety, zostawiając naczynia, uciekły do chat; zato dzieci obstąpiły mnie dokoła. Jedne całkiem nagie, inne obwiązane kawałkiem perkalu podejrzanego koloru, przyglądały mi się z ciekawością. Zrazu z pewną bojaźnią, poczęły następnie oswajać się z moją osobą, a zachęcone kilku słowy, które do nich przemówiłem, potwierały także buzie. „Moni! moni! moni!“ pozdrawiały jedno za drugiem, a za każdem „moni“ równem „moni“ musiałem odpowiadać.

Anglicy utrzymywali, że słowo „moni“ jest tylko skróceniem „good morning“, z czego się miało wnosić o wpływie, jaki na tutejszy lud wywierali. Atoli przekonałem się później, że to samo pozdrowienie istniało i istnieje między innemi plemionami, tak Sziry jak Zambezy, i to w głębi kraju, gdzie lud niewiele miał styczności z Anglikami, i gdzie więcej portugalskiej, niż angielskiej domieszki w mowie się spostrzegało. Ale w walce o byt Anglik nie liczy się z środkami; każda drobnostka, któraby mogła świadczyć o jego prawdziwych lub urojonych pretensyach do posiadania kraju, jest w jak najlepszy sposób wyzyskaną.

* * *

Nareszcie dostałem się do stolicy. Ogromne drzewo figowe rzuca tu rozległy cień na czysto wydeptany plac. Po jednej stronie rozrzucone, podobne do uli, chaty poddanych, po drugiej, w otoczeniu trzcinowem, gmachy i harem króla. Pod figowcem leży kilku kafrów, zajętych rozmową. Grupa dzieci bawi się opodal. Oparte o pień łuki, dzidy i karabin kabslowy urozmaicają obraz.

Znając z opowiadania zwyczaje pałacowe, nie namyślałem się długo. Zapytawszy, czy „mfumu“ [1]) w domu, wszedłem do zagrodzenia. Zastałem tam kilka kobiet młodszych i starszych, upychających sorgo w wysokich stępach. Inne siedziały pod daszkami domów i zabawiały się rozmową. Dwie czy trzy miały dzieci uwiązane na plecach, i kiwając się w regularnem tempie nad tą prymitywną maszyną, przedstawiały widok nader komiczny. Widziałem tam kobiety szkaradne z olbrzymiemi „pelele“, brzydkie i ładne. Oczywiście te ostatnie nie nosiły wyżwspomnianej ozdoby. Co do ładnych — wspomnieć muszę — iż nie byłem pierwszym, który to zdanie wypowiedział. I inni podróżnicy, którzy oglądali piękności haremowe, wyrażali się pochlebnie o wyrazie oczu, zgrabnej postaci i przyjemnej cerze tych pań. Cerze? — powiecie — ależ pfe! Czyżby cera ciemna mogła być przyjemną?“

Pośród labiryntu chat, które wcale nie różniły się strukturą jedna od drugiej, wynalazłem wreszcie czworoboczny, wyższy nad inne budynek. Był to pałac Malaurego. Zastałem go na werandzie, utworzonej ze spadającej strzechy, w wielkiem poręczowem krześle wyrobu europejskiego. Był w towarzystwie kilku starszych Kafrów, którzy obok na matach siedzieli, i popijał „moa“ z ogromnego garnka glinianego, ustawionego u jego stóp.

Malauri jest wysokim mężczyzną o cerze ciemnobronzowej i fizyognomii dość przyjemnej, zwłaszcza dla oka przyzwyczajonego już do czarnych twarzy. Odziany w kolorowe chustki, które na biodrach tworzyły rodzaj fartuszka, nie wyróżniał się ubiorem od innych Murzynów. Wielki niebieski szal wełniany, służący mu za togę, wisiał na poręczy krzesła. Zato na nogach miał wiele mosiężnych obrączek, uwitych misternie z cienkiego drutu — specyalność znana tylko mistrzom z nad Zambezy.

Przystępując doń, powitałem go po angielsku. Podał mi rękę, ledwie ruszywszy się z krzesła — poczem zawołał na niewolniczka, bawiącego się opodal, i kazał podać krzesło; a miał ich kilka w swoich apartamentach, jak mi to sam opowiadał.

Kiedym usiadł obok i zaspokoił pragnienie haustem piwa z ogromnej tykwy, rozpoczęliśmy pogadankę. Łamaną angielszczyzną, którą lubił się chwalić, wypytywał o rozmaite szczegóły: o polowanie, o handel i o Portugalczyków. O tych ostatnich jakoś najwięcej mu chodziło, bo ciągle zwracał na ten temat rozmowę, chcąc się dowiedzieć odemnie, czyby to było prawdą, iż zamierzają wtargnąć nad Szirę. Starałem się go przekonać, że nic nie wiem o tem, i że będąc Anglikiem, nie sympatyzuję z Portugalczykami, ale prawdopodobnie nie bardzo mi dowierzał, zapytując co chwilę: „You same english?“ [1]) Ale pozatem był bardzo uprzejmy, a gościnność swoją chciał okazać częstem podawaniem pełnej tykwy z piwem i zaproszeniem do pozostania czas jakiś nad Mansą. W ogóle zachowywał się bardzo przyzwoicie i robił na wizytującym wrażenie prawdziwego władcy.

Tak baraszkowaliśmy do południa, poczem obdarowawszy jego królewską mość karabinkiem kabslowym i flaszką prochu cienkiego — pożegnałem stolicę. Na odchodnem ściskaliśmy się jeszcze raz za ręce, życząc sobie „good bye“. I znowu gościnna łódź moja przyjęła mnie w swoje objęcia.

D. 21. czerwca. Jeszcze przed południem stajemy w Katundze. Tu kończy się nasza podróż wodna. Bagaże moje przenosimy do wsi, gdzie „mfumu“ — od którego imienia wieś nazwano — odstępuje mi jedną z chat swoich za skromnem

[1]) Mfumu — szef, naczelnik.

[1]) You same english? — Takiżeś sam jak Anglik?

wynagrodzeniem trzydziestu jardów białego perkalu, tuzina pięknych chustek, oraz baryłki kaferskiego prochu.

Łódź, która mnie tu przywiozła, ma wracać do Szamo, a marynarze ucieszeni, że podróż szczęśliwie się skończyła, i że nazajutrz będą mogli wracać — zamierzają przetańczyć noc całą. Zaangażowano też orkiestrę z pięciu bębnów, wielkich i małych, co mi daje tylko tę przyjemną pewność, że nie będę spał tej nocy. Zapobiedz jednak temu nie mogłem, bo do tańca tego idą żony i córki „mfuma“, a trudno mu się narazić zaraz w dniu pierwszym, prosząc o zakaz urządzania zabawy w jego własnej wsi.

Kucharza Martinia i małego Dominga, którzy tu pozostają ze mną, zaszczyciłem rolą strażników moich rzeczy. Mają oni siedzieć pod chatą, bo ja idę zrobić znajomość z Anglikiem, mieszkającym tu na stacyi Towarzystwa „African Lakes Comp“, którego jest urzędnikiem. Stacyę tę widać ztąd o jakie pięćset kroków. Leży ona tuż nad brzegiem i ma na celu utrzymywanie komunikacyi między rzeką a Blantyre, położonem w górach. Tam są misyonarze i dyrekcya tegoż towarzystwa.

(C. d. n.)

Kłusownik.

(Wspomnienie z Wystawy.)

Widzieliście go zapewne. Nie zważając na hałas zwiedzających, klęczy nieruchomo, ściskając w ręku lichą fuzyjkę. Wzrok w dal wytężył a uchem łowi najlżejszy szelest. — Czeka na zwierzynę. — Spokojny jakby z kamienia wykuty, nie okazuje niecierpliwości, nie zdradza się najmniejszym ruchem, gotów noc całą przeczekać na jednem miejscu, byle tylko nie wrócić do domu z próżnemi rękoma.

Lecz nie troskajcie się! „Wolny Nemrod“ bez łupu nie powróci! Wszak nie nato biegał on dziecięciem i „buszował“ po lesie, badał jego tajniki, poznawał ścieżki i przesmyki zwierzyny, zwiedzał jamy lisie i borsucze, obznajomił się z każdem niemal drzewem, — aby później w wieku dojrzalszym, nadaremnie miał zasiadać. On wychodzi niemal zawsze „na pewnego“, a biada zwierzynie, którą zoczy. Strzelba jego niepozorna wprawdzie, nie rzadko powiązana sznurkami, lecz oko ma on pewne, a strzał niezawodny.

Noc jest jego sprzymierzeńcem, lecz i w dzień zapuszcza się on często w knieję. Podczas „roboty“ towarzystwa nie lubi, a zoczywszy podejrzanego człowieka, stara się przedewszystkiem ukryć swą ulubioną strzelbinę. Bez niej życie nie ma dla niego uroku; — to jego kochanka, żona, najmilsza istota. Kryje ją zawsze troskliwie, osłania, usuwa najmniejszą skazę. A czegoby on nie uczynił, by ją „wyprawić“? Nie zabiłby żmii kijem, a jednak zoczywszy „ślepą“ podstawia swą jednorurkę, napędzając gada do lufy, by potem wystrzelić. Tak „wyprawiona“ strzelba bije znakomicie — pewnie — nie chybi nigdy!

Straszny to człowiek dla zwierzyny. Nie uznaje czasu ochrony, ani płci; rogacz czy sarna, jeleń czy łania, to mu obojętne, byle tylko był łup.

Nie masz wybiegu, któregoby nie próbował, aby oszukać straż leśną. W lecie trudno go wyśledzić, teraz w zimie śnieg go zdradza. „Wolny Nemrod“ umie sobie jednak poradzić. Już z dala od lasu kroczy do kniei tyłem, nie zważając na utrudnienia takiej podróży. Ślady wskazują, że ktoś wyszedł z lasu i strażnik idzie spokojny do domu, a tymczasem nasz Nemrod, znalazłszy się w kniei, obiera sobie dogodne stanowisko i czeka na zwierzynę.

Zwolna las staje się jego stałem niemal siedliskiem, a polowanie dla zysku przemienia się z czasem w niebezpieczną żyłkę myśliwską.

Kłusownik doświadczony, osiwiały w swym zawodzie, nie poluje w lasach sąsiednich. Dwie lub trzy mile drogi są dla niego zabawką.

Nie pogardza wcale zającem, ba! nawet ptakiem, lecz i niedźwiedź go nie trwoży, a ciągłe życie w kniei uczy go ostrożności i przeróżnych forteli. Nikt nie zna lepiej od niego życia i zwyczajów zwierząt, ich żerowisk i miejsca spoczynku. Las — to jego królestwo, a zwierzyna to poddanni, których sposobem administracyjnym wyseła na drugi świat.

Gardzi on dyletantami swego zawodu, lecz tych, niestety, coraz więcej, — prawdziwy jego ród już na wymarciu...

* * *

Widzieliście go zapewne! — to jeden z ostatnich. Nie zważając na hałas zwiedzających, klęczy nieruchomo, ściskając w ręku fuzyjkę. Wzrok w dal wytężył a uchem łowi najlżejszy szelest. Czeka na zwierzynę. Spokojny, jakby z kamienia wykuty, nie okazuje niecierpliwości, tylko chmura gniewu okryła jego ponure oblicze.

Może spostrzegł gdzieś w dali nienawistnego leśnego, któremu zemstę poprzysiągł...

T. Chołoniewski.

Smutne wspomnienia z Niebyłowa.*)

„Niebyłów“, to nazwa kniei, nazwa rzeczywista i od wieków prawdziwa, bo tam nigdy nic nie było, nic nie ma i nic nie będzie. Od dwóch lat poluję w Niebyłowie, czyli raczej jeżdżę po lesie i chodzę, nie ma co strzelać, nie ma na co polować; ale jako nałogowy myśliwy, należę do tego polowania, bo tam mają być jelenie i rysie. Że są, to prawda, ale tak mało, jakby ich nie było. Zawsze jednak dla osiadłego na Podolu ten myt jest przyciągającą siłą, to też poluję w Niebyłowie i jeździć doń będę, bo gdzież się spotkam z tym rycerskim zwierzem, przecież nie na Podolu? Roku przeszłego wróciłem z tej kniei *bredouille*, jak wielu innych towarzyszy moich; jechałem więc i tego roku w wielkiem przygnębieniu, pewny, że Niebyłów odpowie znowu swej sławnej nazwie. Lecz ku wielkiemu memu zdziwieniu zaraz pierwszego dnia zabiłem samurkę małę i byłem już zadowolony, bo czegoż więcej żądać od tak pustej kniei?

Drugiego dnia mieliśmy polować w rewirze „pod kamieniem“, gdzie miały być najpewniejsze jelenie. Bierzemy więc jeden, drugi i trzeci miot, lecz pusto i głucho, jak to zwykle na polowaniu w Niebyłowie. Zaczynamy się uśmiechać, pytając gdzie te jelenie, przecież to najpewniejsza ich ostoja. Leśniczy nam mówi, że jeżeli ich nie ma w czwartym miocie od starej drogi Majdańskiej, to chyba już nigdzie nie będą. Bierzemy więc ten miot czwarty; nagonka zostaje na miejscu, my zaś podwodami objeżdżamy wkoło na tę niby sławną drogę Majdańską. Jadę bardzo przygnębiony, bo co to za straszne uczucie ogarnia myśliwego, gdy jedzie milową przestrzeń i na ponowie nie widzi śladu żadnego — a tak bywa w Niebyłowskiej kniei, trop zwierza jest rzadkością. Gdyśmy się rozstawiać zaczęli, zwróciły mą uwagę tropy jelenie; trochę lżej zrobiło mi się na sercu, jakaś iskierka nadziei w niem drgnęła, może choć raz zobaczę jelenia rogacza! Byłoby to dla mnie już szczytem szczęścia! Lecz tego dnia św. Hubert nie był łaskaw na mnie, bom mało pragnął w mej duszy myśliwskiej. Ach, dał mi więcej, niż żądałem, odmówił mi jednak spokoju, tej cnoty myśliwskiej, której tak bardzo każdemu potrzeba.

Stanąłem wreszcie na stanowisku pod ścianą gęstych świerków, ciężką okiścią do ziemi zgiętych, które wprawdzie dla malarza i poety śliczny obraz przedstawiają, ale nie dla myśliwego, bo o dwa kroki nie widać nic przed sobą, tylko zieloną tkaninę, białemi koronkami okrytą. Jak tu zobaczyć jelenia, którego w życiu nie widziałem, a o którym marzę tak długo, kiedy ten mur zielono-biały tak zbity stoi przedemną? Choć zwykłem w Niebyłowie nigdy ścieżki sobie wśród gąszczy nie wycinać, bo rzadko się ma nadzieję cokolwiek w miocie zobaczyć, tu mię coś ruszyło i kordelasem z wielkim mozołem zdołałem sobie wyciąć linijkę wśród gąszczy, przez którą widziałem wyjątkową halawkę, którą mi jednak gruby buk zasłaniał. Po tej długiej pracy stanąłem prosto mej linijki. Stoję i stoję — i nic nie słychać, jak tylko szum świerków i buków odwiecznych; czasem zaszeleści okiść spadająca z drzewa, gdy podmuch silniejszy powieje.

Czekam już bardzo długo, bo to w Niebyłowie zawsze miot trwa w nieskończoność, a każdy długi, bo każdy pusty! Gdy tak stoję jak skazaniec, naraz po prawej stronie większa ilość okiści spadła z drzewa. Zwróciło to mą uwagę, dlaczego naraz tak wielka ilość śniegu spada, czy ptaszek jaki, dzięcioł siadł na tej gałęzi? Nie — przeczucie mi mówi, że się dzieje coś, co w Niebyłowskiej kniei rzadko się zdarza — to zwierz jakiś idzie! Przecież tyle polując, nigdy tego nie widziałem, aby zwierz idący okiść głową zrzucał z drzew, więc pomyślałem zaraz: to jeleń idzie! On większy wzrostem, głową czy wieńcem dotyka gałęzi i śnieg obtrząsa. Gdy taka myśl przyszła, serce zakołatało silnie, bardzo silnie, gorąco mi się zrobiło, strzelbę ścisnąłem w ręku, a trząsłem się cały jak w febrze ze wzruszenia, bo o ile ten zwierz bardziej pożądany w kniei pustej, aniżeli w obfitej w zwierzynę — cóż dopiero, gdy się ma na myśli, że się pierwszego króla gór zobaczy! I rzeczywiście przez lukę przezemnie wyciętą majestatycznym, pływającym kłusem wybiegła łania, a za nią szpiczak. Zupełnie jak łódka pływa po spokojnym stawie, tak tych dwoje zwierząt, ideały myśliwego, pływały po głębokim śniegu; ona szła naprzód z łyżkami naprzód wystawionemi, z szyją wyciągniętą ku głosom nagonki i przystanęła chwilę ta królowa gór; szpiczak stał za nią, a większy był od niej, bo to niestety nie był szpiczak, lecz „wstecznik“, jak się później dowiedziałem, to też uderzył mię swym wzrostem i ciemną swą barwą w porównaniu do łani. Lecz pierwszy raz widząc jelenia, nie mogłem sobie zdać sprawy i nie strzeliłem doń. Odłożyłem więc strzelbę i ze wzruszeniem niedającem się opisać przypatrywałem się tym pięknym stworzeniom, mówiąc sobie w duchu: jakie to piękne, jakie to piekne! A cóż za widok dopiero musi sprawiać jeleń rogacz! Lecz krótko trwało to śliczne zjawisko, bo gdy od tych stworzeń nie mogłem oczu oderwać, wkrótce znikła mi z przed oczu łania, a za nią szpiczak w zielono-białej tkaninie gąszczy, i jako ostatni znak po sobie zostawiły spadający śnieg z gałęzi, bo on rogami zrzucił znowu okiść z drzewa, co mię utwierdziło w mniemaniu, że takim sposobem daje jeleń znak o sobie, że idzie. Bo choć tak wielkim jest ten zwierz, przecież idzie tak cicho, że wśród złomów nawet nie trąci nigdy o żadną suchą gałązkę, jakich nie brak na przesmykach, którędy chodzi.

I znikły przepyszne stworzenia, staję rozmarzony, a wtem dwa strzały gdzieś na górze zwróciły mą uwagę — bo rzadkie są strzały w Niebyłowskim lesie, więc każdy na nie więcej uważa. Czy ktoś był szczęśliwszy odemnie i wyszedł na niego jeleń rogacz, zamiast tej łani i szpiczaka, czy może ktoś nie mógł wytrzymać i do tego samego strzelił, bo on w tę stronę podążył? Rozmaite robię przypuszczenia, gdy nagle wstrząsnął się cały zapust świerkowy prosto przedemną poza halawką i bukiem. Czułem, że z całą przestrzenią tego gąszczu jakaś dziwna przemiana się robi, cała okiść z drzew spadła na ziemię, a na halawkę majestatycznym chodem wysunął się jeleń rogacz, pierwszy jakiego w życiu zobaczyłem. Żadne pióro nie zdoła opisać wrażenia, jakie mą istotę ogarnęło! Mało mi strzelba z rąk nie wypadła, mało mi serce piersi nie rozerwało! Tak biło, tak biło silnie, żem je słyszał najdokładniej. Lecz zamiast stłumić to wzruszenie w sobie i ochłonąć, jak to zwykle robię, gdy zwierz gruby idzie na mnie, poddałem się jeszcze

*) Lasy rządowe w powiecie kałuskim.

więcej uniesieniu, i nie czekając, aż ten przepyszny zwierz przyjdzie do mnie blisko, przyłożyłem bez myśli strzelbę i bez wymierzenia prawie, strzeliłem nie wiedząc po co, jak się później pokazało na 48 kroków na sztych do idącego kłusem na mnie jelenia, który byłby z pewnością bardzo blisko do mnie przyszedł. To też jeleń skoczył w gąszcz, i w chwili drugiego strzału już go nie było. Lecz widząc, że zwierz zdąża ku Majdańskiej drodze, zdołałem jeszcze nabić — i w chwili, gdy jednym susem przesadzał drogę, strzeliłem z expresa już o wiele spokojniej, gdy niknął w zapustach świerkowych, zostawiając jako jedyny znak po sobie charakterystyczne uderzanie rogami po dragowinie, które długi czas w oddali słychać było.

Dwa uczucia złączyły się we mnie: pierwsze, podniosłe uczucie piękna i zachwytu na widok górskiego jelenia w całej swej okazałości, drugie okropne, pełne rozpaczy przekonanie, że zgorączkowałem strzał, a może chybiłem. Pierwsze, które do dziś czuję, wzięło górę i widok tego pięknego zwierza o majestatycznej postawie, ślicznem oku i ciemnej grzywie, było tak wielkie, że do końca miotu zapomniałem o strzale i o myśli, że tego jelenia może nie być i że on jest chybiony.

Z zachwytu mego ocucił mnie dopiero widok nadchodzących naganiaczy; przypomniałem sobie, że to trzeba pójść na strzał i przerachować kroki, choć w rzeczywistości miałem przekonanie, że strzał pierwszy chybiony przez zgorączkowanie, drugi strzał dany w chwili, gdy jelenia już nie było, a trzeci strzał daleki, może najpewniejszy. I jak z krzyża zdięty poszedłem na miejsce pierwszego strzału. Ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, bo miałem to przekonanie, że go pierwszym strzałem trafić nie mogłem, zobaczyłem farbę na tropie, lecz jako znawca strzałów zdziwiłem się niemało, że „anszusu“ na strzale nie ma. To mi się bardzo nie podobało, jednak nie przyszło mi na myśl, aby popatrzyć, czy przed strzałem nie ma farby, bo może to farba nie od mojej kuli, może to jeleń strzelany na górze obrócił miotem i wyszedł na mnie. I co tchu, fałszywą nadzieją wiedziony, pobiegłem na strzał na drodze. O, tu już nie ulega wątpliwości, strzał to trafny, bo sieczka długa i drobna a silniejsza farba dalej wskazywały, że kula weszła w jelenia. Ucieszony jednak tem, zostałem wkrótce rozczarowany, bo wróciwszy na stanowisko, zoczyłem leśnego, idącego tropem mego jelenia ku mnie. I otworzyły mi się oczy — prawda niestety rzeczywista, ale bolesna: jeleń był już przedemną strzelany i trafiony! Więc choćby kula moja w nim była drugą, i jeleń gdyby leżał w następnym miocie, nigdyby moim nie był!

Schodzą się myśliwi i każdy pyta, do czegom strzelał, opowiadają o strzałach na górze do dwóch jeleni rogaczy, które razem wyszły, a mnie się robi coraz markotniej, bo zawsze chodzi myśliwemu o to, żeby choć jego drugą kulę znaleziono, jeżeli pierwszą być ona już nie może. Niestety! i tej przyjemności odmówiły mi nieba! Bo gdy po trzech dniach jelenia tego dobito, nie znalazłem swej kuli niestety! Istne czary, to prawda, bo nigdy nie będę sobie życzył „anszusu“ lepszego, jak ten, który widziałem na strzale na drodze. Czy kula z ekspresa małego weszła niepostrzeżenie, żeśmy jej znaleźć nie mogli, czy ona weszła dziwnym trafem w miejsce to samo co kula tego, który strzelał przedemną, to zostanie nadal tajemnicą, którą rozświeci mi św. Hubert, gdy mnie po walce na tutejszym świecie przyjmie godnego na swe łono i pocieszy...

Olejów w lutym 1895.

Aleksander Wodzicki.

Dola zwierzyny płowej i czarnej na Podolu.

Przed trzydziestu laty jedynym czworonogiem łownym użytecznym na Podolu był zając. Nie brakło natomiast szkodników, jak lis, borsuk, wilk zawłoka, i innych pomniejszych, jak kuna, tchórz, łasica.

Wobec takiej zgrai krwiożerczych, czy mógł się jedyny ten obywatel łowieckiego świata, pomimo sprzyjających innych warunków, licznie rozplenić? — Nie — zawsze było go niewiele — dopiero w nowszych czasach, gdy racyonalne łowiectwo u nas kwitnąć zaczęło, oraz przy pomocy ustawy łowieckiej, która na gruncie już przygotowanym rychło oddziaływać mogła, zdziesiątkowano ową zgraję rabusi, a w miarę ich ubytku ilość zający wzmagała się i dziś śmiało rzec można, że pola i gaje podolskie roją się szarakami.

Nastały korzystniejsze warunki, i na Podolu, gdzie „chleb po kolu“, stał się ten chleb przystępniejszy także dla zwierzyny i ściągnął z ziem przyległych nieznanych wprzód przybyszów, jak sarny i dziki.

Lecz cóż mówię o „przybyszach“? Sarny i dziki wróciły jedynie do dawnej ojcowizny swych protoplastów, gdzie wspólnie z jeleniem zamieszkiwały. Po sarnach i dzikach nie zostało śladów, lecz jeleń porozrzucał niemal po całem Podolu swe rosochy, znacząc swą bytność przedwiekową. W wielu miejscowościach na Podolu znachodzą się podziśdzień rosochy jelenie, a wszystkie o ile słyszałem wydobyto z pod wiekowej warstwy ziemi. Ja także posiadam kilka sztuk okazów takich, znalezionych w miejscowości, którą obecnie zamieszkuję, a gdyby okazy te znalazły kącik w którem muzeum, chętnie je ofiaruję.

Pierwsze dwa okazy znaleźli rybacy przy łowieniu ryb w Zbruczu. Czy je woda wymuliła z brzegów tej miejscowości, czy z dalszych okolic przyniosła—trudno orzec. Co do następnych okazów uchyloną jest wszelka wątpliwość pochodzenia; dowodzą one, że w tej właśnie miejscowości, gdzie je znaleziono, przemieszkiwały jelenie.

Rzecz się tak miała. Przed kilku laty zakładałem w lasach tutejszych stawek a raczej większy zbiornik wody. Wodę dla tego zbiornika dostarczyć miało małe źródełko, tryskające z ziemi o kilkadziesiąt kroków. Że w miejscu tem znajdywał się pokład ziemi lekkiej, napływowej, okazała się potrzeba utworzyć przekop, sięgający aż do tęgiego pokładu ziemi. Przekop ten stanowił fundament pod usypać się mającą groblę. W głębokości 2 metrów owego przekopu natra-

fiłem na pokład żwiru zmieszanego z piaskiem, a napojonego obficie wodą. Otóż z tego pokładu wyjęto dwa również uszkodzone jelenie rogi.

Bardzo piękny okaz, bo w całej długości i nie uszkodzony, znalezionym został w graniczącym lesie sąsiednim w następujący sposób. Pewnego razu przyszedł do mnie chłop z sąsiedniej wsi Cygany, a widząc u mnie w pomieszkaniu poprzednio znalezione rogi, widocznie zaintrygowany, że i taka rzecz na pomieszczenie w izbie zasługuje, powiedział mi, że taki sam róg widział niezbyt dawno. wysterczający z usuniętego brzegu rzeczki „Cyganki“, i że próbował go z brzegu wydostać, ale nie mógł. Przy tej operacyi część wysterczającą złamał i kawałek odłamany rzucił w „korczi“, a reszta została w brzegu. Zabrałem tedy mego poczciwca i jeszcze jednego robotnika z ryskalem i kazałem się prowadzić na znane mu miejsce obiecując nagrodę, zwłaszcza jeżeli i odłamany kawał odnajdzie. Po przybyciu na miejsce odszukaliśmy rzucony odłamek, stanowiący pierwsze rozgałęzienie od góry — następnie przy pomocy rydla wydostaliśmy resztę roga dalej nie uszkodzonego o trzech rozgałęzieniach z koroną od osady. Róg ten jest prawie czarny, poprzednie zaś szare, zbliżone kolorem do kamienia piaskowca. Różnica barwy tem się tłumaczy, że te spoczywały bądź w wodzie, bądź w mokrym piasku, ów zaś w tęgiej suchej glinie.

Śladów tym podobnych, świadczących o przedwiekowej bytności sarn i dzików nie napotkałem ani też nie słyszałem, by je w innej miejscowości Podola napotykano; przypuszczać jednak należy, że razem z jeleniem sarna i dzik miały tu warunki stałego bytu.

Odradzać się one zaczęły dopiero od lat 30-u; tu i owdzie pojawiła się parka sarn, o ile mi wiadomo najpierw w okolicach Zaleszczyk, Mielnicy i Borszczowa, a stąd pasmem lasów wzdłuż brzegów Zbrucza podążyły w dalsze powiaty ku Skałackiemu i stąd dopiero rozsiały się w głąb kraju. Najpóźniej, bo dopiero niespełna lat 20, rozmnożyły się stale w głębi kraju, w powiatach Tarnopolskim i Trembowelskim.

Niezaprzeczenie pierwsze sarny, które się pojawiły w powiecie Zaleszczyckim po Borszczów, przybyły tu z Bukowiny, gdzie właśnie w tej porze obszerne kompleksy lasów wzdłuż brzegów Dniestru wyrąbywano. W miarę niszczenia lasu traciły sarny warunki bytu i wzmagała się ich emigracya w sąsiednią okolicę Podola. Znalazłszy tu chętne przyjęcie, rozmnażały się i rozsiedlały coraz dalej w głąb kraju, a dziś stanowczo rzec można, iż na całem Podolu niema kącika, gdzieby sarna nie była miejscową.

Pod względem siły zwierzostanu, przodują zawsze powiaty najpierw w sarny zasilone, a mające tu wszelkie warunki bytu, tem bardziej, że od lat kilku nie pojawia się tu już tak wiele wilków jak dawniej, które ród sarni decymowały. Nie ulega wątpliwości, że rozmnoża sarn na Podolu postępować będzie coraz bardziej i mogą ona niezadługo stać się klęską dla kultury lasów i spowodować konieczność redukcyi.

Niemal w tym samym okresie czasu pojawiły się także i dziki na Podolu. Te wprawdzie nie doznały tu takiej jak sarny gościnności, i zawdzięczają swą rozmnożę jedynie sprytowi wywijania się z pod „rury“, oraz że mniej są tkliwe niż inna zwierzyna na pociski ołowiu. Wzmagająca się jednak z każdym rokiem zawziętość prześladowania tej zwierzyny ze strony strzelaczy i wyjęcie z pod prawa ochrony, powodują, że stan tej zwierzyny raźno się zmniejsza i jak tak dalej pójdzie, niezadługo braknie znów dzika na Podolu. Dziś już bardzo mu tu ciasno, nie ma odpoczynku, goniony i prześladowany o każdej porze roku — a czasem aż wstrętnie rzeź ta dzików bywa wykonywana. Powiadam „wstrętnie“, bo aczkolwiek zwierz ten skazany na zagładę, przecież wyrok wykonywać powinno się w godziwy sposób, nie zaś mordować go o każdej porze roku, bez przebierania w środkach i bez najmniejszej korzyści z ubitej zwierzyny.

Nie dalej jak zeszłego lata zdybałem w lesie dwa kadawry, przy których tuliło się po kilkoro młodych, zaledwie kilko- lub kilkunasto-dniowych, które bez karmicielki absolutnie istnieć nie mogły. Biedactwo to poogryzało sutki nieżywej samury, — zgłodniałe, zbiedzone, skazane na śmierć głodową tuliło się koło cuchnącego cielska. Jedną taką nędzotę przydybał chłop w lesie i mnie tam sprowadził. Na widok tego biedactwa nie mógł się powstrzymać od złorzeczeń:

— A bodaj tia Boh skazau, szczoś czysto ne mau sumlinia, kołyś strilau! Taj szczo tobi z toho pryjszło? Bodajś sam zaznau takoj bidy!

Są to słowa chłopa, wygłoszone z całem przejęciem i niekłamaną prawdą. A cóż dopiero na widok skutków takiego oprawczego rzemiosła myśliwy ma powiedzieć? I jakiego doznaje uczucia? Już sama skarga nemroda, który wyszedłszy na ciąg wiosenny słonek, nie ubił słonczym śrutem ogromnego odyńca, który niespodzianie na niego wylazł, niemiłe w myśliwym budzi uczucia, a cóż dopiero kaleczenie samur z kilkonastodniowemi sysakami?

Wobec takiej bezwzględności tępienia, nikną coraz bardziej dziki na Podolu, a zima tegoroczna przyczynia się wielce do ich zagłady. Żadne drzewo nie obrodziło, nawet grab, który tu prawie co roku bardzo obficie obradzał i nasieniem swojem, w braku innego, żywił dziki, zawiódł w zeszłym roku zupełnie. To też dziki z całej okolicy, włócząc się gromadnie po lasach i szukając daremnie pożywienia, ułatwiały spotkanie czyhającym na nie — i rzeczywiście dużo ich ubito tej zimy. Słyszałem, że tylko w pewnej miejscowości skoncentrowała się gromadka niedobitków, około 20 sztuk, które szczęśliwie zawlokły się w cichy kącik, gdzie znalazły spokój, a 4 morgi kartofli, nie wykopanych w skutek słót jesiennych, nie pójdzie marnie, bo stanowi ich pożywienie.

Jak słyszałem, zgonione i zgłodniałe to biedactwo trzyma się najspokojniej owego kącika od dłuższego już czasu, a obecnie głębokie śniegi powstrzymują tem bardziej wrodzone włóczęgowstwo dzików; mają pożywienie, więc też nie wyruszą, aż wiatry wiosenne stopią gruby, biały kożuch ziemi, a tem samem nastaną bezpieczniejsze dla dzika czasy. Będą to nasienniki dla szerokich okolic Podola i znaczyć będą o parę lat dłużej bytność swą w podolskich lasach.

Ale czy to takie dziki jak ich protoplasty? Gdzie tam! Od kilku już lat dopatrzyć się można w dziczym rodzie degeneracyi, cechującej się biało-srokatą suknią dzików. Liczba srokaczy z każdym rokiem się zwiększa, a srokacizna ta powstała niewątpliwie ze skrzyżowania się dzików ze swojskiemi świniami. Fakt to znany i nie potrzebujący komentarzy, że potomstwo od swojskiej lochy po dziku nie żyje długo. Było tu kilka takich zdarzeń, a zwłaszcza u mieszkających w lesie gajowych, że domowa świnia bez starań swego właściciela zrobiła sobie wesele z dzikiem w lesie. Potomstwo przyszło na świat zdrowe, przeważnie w sukniach młodych dzików, bądź w małej ilości srokatych, nie było jednak przykładu, ażeby potomstwo takie chowało się zdrowo. Zawsze prędzej lub później wyginęły te mieszańce, licząc najwyżej kilka tygodni życia. Opowiadano mi, że familię taką oglądano

w Borszczowie, na jarmarku. Właścicielka tego towaru, najprawdopodobniej widząc, że z paciuczków takich nic nie będzie, w kilka dni po przyjściu na świat zabrała je z lochą, ażeby zbyć to szczęście innemu; ale nikt kupić nie chciał, każdy oglądał i prawił: to dyki, wyzdychajut tak jak u Nykoły, Iwana i t. d.

Nie znalazłszy przeto głupiego, zabrała je gosposia na powrót do domu i rzeczywiście nic z nich nie było — wyginęły. Przypuszczać jednak można, że jeżeli swojskiemu „kawalerowi“ udadzą się zaloty około dzikiej samurki, to potomstwo pozostawione naturze wyrasta zdrowo. Pojawianie się srokaczy przypisać tedy należy takiemu krzyżowaniu, a oto co mam na poparcie tego twierdzenia.

Przed kilku laty przemytnictwo świń z Rosyi uprawiano tu na wielką skalę. Transport taki szedł zwykle nocą i lasami, nieraz też w lesie gubiono i po kilka sztuk. Na drugi dzień szukano za niemi i poszukiwania takie udawały się, jeżeli zgubionemi sztukami były lochy albo wieprze; jeżeli jednak trafiło na knura butniejszej natury, to ten, poczuwszy się na wolności, nie tak łatwo dał się ujarzmić, i pozostawał nieraz długi czas w lesie, nim który z gajowych zastrzelił go z upoważnienia właściciela. W ten sposób dziki miały wiele sposobności wchodzić tu w styczność i łączyć się z swojskiemi świniami.

Chętne powracanie do stanu dzikiego trafia się nietylko u świń, ale i u innych zwierząt domowych. Przytoczę fakt zdziczenia cielęcia a nawet wołu, jaki tu miał miejsce.

Przed kilku laty, a było to w pierwszej połowie kwietnia i śnieg miejscami tylko w lesie był zginął, wiózł żydek kupione we wsi cielę na rzeź do miasteczka. Cielę, przeczuwając swój srogi los, rozbrykało się na wozie, a uwolniwszy się szczęśliwym trafem z więzów, zeskoczyło z wozu i pogoniło w las. Pogonił i żyd za niem, ale nie tak to łatwo dogonić żydowi cielę w lesie, zwłaszcza gdy wzniesie ogon do góry. Gonił i gonił, nareszcie zginął mu cielak z oczu dostawszy się do gęstwiny. Biedny żyd zaniechał dalszej pogoni, wrócił zziajany, ale i konia nie zastał; ktoś jadąc drogą i ujrzawszy konia z wózkiem stojącego, nie szczędził mu bata i konina powlokła się. Tak więc „żyd koniowi uciekł“ a cielęcia nie dogonił i pozostał bez obojga. Następnych dni poszukiwał żyd przy pomocy chłopów cielęcia po lesie, lecz nadaremnie. Tu i owdzie widzieli cielę z daleka, ale za zbliżeniem się przepadało w gęstwinach. Wreszcie zaprzestał żyd daremnych poszukiwań i wszyscy zapomnieli o cielęciu. Dopiero w miesiącu maju, gdy już bydło na paszę do lasu wypędzać zaczęto, przynieśli pastuszki wieść o owem cielęciu, że żyje w lesie, ale ucieka za zbliżeniem człowieka jak sarna. Dowiedział się i żyd o tem i znowu urządzał obławy, lecz bezskutecznie. Cielę do bydła zbliżało się, lecz pędzone z bydłem ku domowi, uciekało napowrót w las. Dopiero po dłuższym czasie oswajania go z bydłem, w miesiącu lipcu, udało się owe cielę wraz z bydłem zapędzić na mój dziedziniec. Tu przyciśnięte przez kilku ludzi do kąta, zostało ujęte i ulokowane w klatce, w stajni, z dwojgiem innych cielat. Lecz cóż nie wyrabiało? Skakało, ryczało, biło sobą o ściany tak, że zdawało się iż się zabije. Pod zimę dopiero zupełnie się ułaskawiło i na paszę z bydłem poszło dopiero następnej wiosny. Uwagi godnem jest to, że złapane po czterech miesiącach pobytu w lesie, pomimo, że dostawszy się na wolność zaledwie 6 tygodni liczyć mogło, w czasie schwytania było w bardzo dobrem ciele. Tak mnie tem zachwyciło, że zapłaciłem żydowi za cielę i zatrzymałem je dla siebie.

Inny fakt miał tu miejsce przed około 20 laty, z wołem. Wół ten uciekł ze stajni, a zasmakowawszy we wolności, złapać się nie dał, przebywał w lesie prawie przez dwa lata i zdziczał w całem tego słowa znaczeniu. Dniem wylegiwał się w gąszczy, a na żer wychodził tylko wieczorem na pola i łąki, zimą zaś spasał zagajniki bez miłosierdzia, jedyny jego pokarm o tej porze. Wołu tego zastrzelono podczas polowania z nagonką w sąsiednim lesie, otropiwszy go poprzednio w miocie.

Otóż nie dziw, że dziczeją i świnie, a płód pochodzący z krzyżowania dzików ze swojskiemi, zupełnie jest dziki. Ilość srokatych dzików zwiększa się u nas z każdym rokiem. Przed dwoma laty zabiłem sam pięknego odyńca co najmniej 5-latka prawie całkiem białego, gdyż tylko 5 małoznacznych czarnych łatek zdobiło jego suknię, lecz wygląd tego dzika, jak stojące małe uszy, porosłe długim sztywnym włosem, niemniej kształty jego odpowiadały dzikowi. Powiedziałem, żem zabił „pięknego“ odyńca, lecz tym wyrazem zaznaczem tylko wielkość jego, słusznie bowiem nazwaćby go trzeba brzydkim, gdyż dzik srokaty niema tego uroku jak dzik zwykłej barwy, i strzela się do niego z pasyą, ale jedynie dlatego, by zapobiedz degeneracyi krwi, a z nią owej srokaciźnie.

Jak dalece srokacizna ta stała się częstą między naszemi dzikami, miałem sposobność przypatrzyć się w tym roku; na ubitych przezemnie sześć dzików, na czterech srokacizna była widoczną. Wprawdzie dziki te wyglądały brudnoszare, nie potrzeba było jednak długo się wpatrywać, aby dojrzeć na nich czarne łatki. Na 17 sztuk, ubitych w lasach sąsiednich, o ile sam widziałem lub mi o tem mówiono, większa połowa odznaczała się takiemi czarnemi, łatwo w oko wpadającemi łatkami. W stadku z 14 sztuk złożonem widziałem sam 4 biało-srokate, a jeden tylko uszy miał czarne i być może, że z przeciwnej strony odemnie miał jaką łatkę czarną. Słyszałem także o ubitych w tutejszej okolicy kilku sztukach całkiem srokatych.

Że nie wiele już dzików chadza na Podolu, zwłaszcza w okolicy tej którą zamieszkuję, a która do najbardziej lesistej okolicy Podola się zalicza, i gdzie największa ilość dzików przed niewielu jeszcze laty była — świadczy dostatecznie i fakt, że na szkody w ubiegłym roku przez dziki wyrządzone, wcale narzekań nie było. Gdzieniegdzie leśniczemu albo gajowemu przerzuciły kawał kartofli, albo też kawał kukurudzy. Wziąwszy jednak na uwagę, że leśniczowie i gajowi mają ogrody wśród lasu albo co najmniej z dwóch, trzech stron lasem okolone, tak, że słońce na owe grunta przez cały dzień boży prawie nie zaziera — to i szkoda nie wielka, bo zbiór z takiego pola zawsze lichy.

Mówmy sobie co chcemy o szkodliwości dzików, to jednak pewna, że myśliwy nie zaspokoi swej żądzy myśliwskiej ubiciem choćby kopy szaraków, jeśli dzika zabraknie. Jeden strzał do dzika więcej znaczy — i wnet odezwą się lamenty za dzikami, które przy dzisiejszem zajadłem tępieniu zostaną chyba tylko w tradycyi. Tęsknotę za zwierzem grubym odczuwał myśliwy Podolak wówczas, kiedy o dziku na Podolu nie było słychać. A teraz wrócą znów chyba te czasy, kiedy to myśliwy Podolak cieszył się gniazdem wilków w swoim lesie, karmił je owcami i trzymał gajowego, który formalnie pasł ową hałastrę i raport codziennie o nich dawał; aż na dzień św. Michała, sproszone sąsiedztwo ucztowało, strzelając do wilków obsaczonych sieciami, przy muzyce kilku albo i kilkunastu sfor piesków.

Tak to myśliwy Podolak zaspokajał swą żądzę strzelaniu do grubej zwierzyny, czemu wcale dziwić się nie mo-

żna. A gdyby kto o tem wątpił, mógłbym się powołać na nielicznych już wprawdzie, ale dotychczas żyjących świadków owych uczt z wilkami. A kosztowniejszem to było od tu i owdzie opłaconej groszem lub snopem szkody przez dziki wyrządzonej.

Szanujmyż więc dziki na Podolu i miejmy nadzieję, że najbliższa ustawa łowiecka tak to jakoś ureguluje, ażeby nie potrzebował ostatni potomek dzików nałożyć swym łbem na Podolu.

Skała, w lutym 1895. *Ago.*

KORESPONDENCYE.

Stare Brody, dnia 2. marca.

(Z ubiegłego sezonu łowieckiego).

W tym myśliwskim roku dużo polowałem, ale zawsze nie tyle, żebym powiedział: już dosyć! Dużo polowań mi przepadło, gdyż się zbiegły na jeden dzień. I tak, nie byłem w Jabłonowie u pani Jenerałowej Koziebrodzkiej, w Podhajczykach i t. d., bo to, niewiem dla czego, każdy czeka i dopiero ostatnich dni stycznia poluje. Bardzo mi żal Kolbuszowy Janusza Tyszkiewicza, ale polowanie wypadło razem z Toporowem, więc naturalnie dałem pierwszeństwo grubemu zwierzowi, chociaż udawać nie będę, jakoby mnie zając nie bawił, — owszem, bardzo lubię, gdy niema dzików.

U mnie — rozmaitość zwierza, to rzecz pierwsza. I tak przeszłej wiosny zaraz zacząłem od cietrzewi i słonek. Nie bardzo mi się powiodło; słonek na ciągu zabiłem cztery i jednego koguta w Raźniowie u p Wł. Gniewosza, a przez cały tydzień w Wulce u księcia Jana Sapiehy — nic. Ale nie mnie jednego to spotkało, bo było nas czterech, gospodarz, ja, Leopold Starzeński i hr. Kazimierz Łubieński, i tylko ten ostatni (największy „spotkaniec" jakiego znam) zabił pięć słonek, a my nic.

Potem przyszły błotne polowania, ale w nich upały przeszkodziły. Jednakże dubelty były, bo polując we trzech na Sznyrowie i Boudurach we dwa dni i w dwa psy, zabiliśmy 45 dubeltów i kilkanaście kszyków. Było to 1 i 2-go sierpnia. Potem już mało polowałem, bo upały były dokuczliwe — a co najważniejsze, iż najmilszy z moich towarzyszy, hr. L. Starzeński zrobił mi zawód i nie przyjechał — a samemu już się nie chciało. Ot, starość — nie radość...

Przyszła jesień i słonki około 20. października przyleciały. Jeden dzień tylko — zastałem je w sosnowym podniesionym lesie dużo, bo ruszyłem 24. z legawym psem. Na trzeci dzień polowałem w tem samem miejscu z naganką — ale tylko parę widziano. Zato zajęcy było dużo, i w ogólności w tym roku stan ich bardzo się zwiększył i to wszędzie, gdzie tylko polowałem.

Od 20-go października do końca miesiąca polowałem u Księcia Jana Sapiehy w Bilce i Wulce. Słonek w porównaniu z dobremi latami padło mało, bo ze dwadzieścia kilka, lisów także niewiele, bo dwanaście, rogaczy mało — zato zajęcy jak na tę porę dużo – bo sto kilkadziesiąt. W Wysuczce polowałem przez tydzień u p. Ordynata Czarkowskiego, pora nie sprzyjała, bo była okiść, a jednakże padło z pół tysiąca zwierzyny — i tylko jeden dzik. Mogło tam paść mnóstwo dzików, ale była okiść, i to taka, że najpiękniejszych zrębów nie braliśmy. Dziki zupełnie na strzelców nie chciały wychodzić, chociaż dobrze je otropiono i wybornie strzelców rozstawiano; karmiono je kukurydzą i końskiem mięsem — więc sobie ten wikt w Wysuczce upodobały i gromada się ich tam zeszła. Ale proszę mi wierzyć, że niema większej przeszkody do polowania na dziki, nad okiść — i dlatego padła tylko jedna czarna bestya. W ogólności stan zwierzyny w lasach Wysuczki bardzo się podniósł, a szczególnie w Wolkowcach.

Na Podolu u pana Juliusza Cieleckiego na trzydniowem polowaniu jesienią i zimą padł odyniec, kilkanaście rogaczy, tyleż lisów i do stu zajęcy. — W Zagrobeli polowałem u p. Ordynata Czarkowskiego dwa dni; padło 16 rogaczy, 4 lisy i 82 zajęcy — sarn nie było w domu - bawiły u sąsiada — o czem się też na własne oczy przekonałem, polując nazajutrz 17. stycznia u p. T. Serwatowskiego w Bucniowie. W sześć strzelb w cztery godziny zabiliśmy tam 26 rogaczy (jednego postrzałka znaleziono nazajutrz) i 26 zajęcy. Takiego stanu sarn jak żyję nie widziałem, a trzeba dodać, że to na 600 morgach prześlicznej dębiny. Mioty tam podzielone jak w szachownicę, jeden podszyty leszczyną, malinami i jeżynami, a drugi obok zupełnie czysty, tylko kilkasetletnie dęby we wszystkich miotach, jakby w parku ślicznie poustawiane — a sarn... jak w zwierzyńcu. Bo też to istny zwierzyniec, tylko bez zagrody. Skorośmy tylko wjechali do lasu, nie było ani jednej chwili, żebyśmy kilkanaście sarn nie widzieli; zajęcy zato mało, muszą w polu siedzieć, bo sarny im spokoju w lesie nie dadzą. Ja zabiłem 6 rogaczy (i to starych z parostkami), pułkownik Weiss 6, jenerał Fargacz 4, a gospodarz na jednem stanowisku 5, ale kiedy mu powiedziałem, że jest gorszy od Heroda, bo Herod swoich dzieci nie zabijał — to już więcej nie strzelał. Dziwne, że jeden z myśliwych nie zabił żadnego rogacza.

Na wilię polowałem w Kontach u pana Władysława Gniewosza — padło kilkanaście rogaczy, kilka lisów i około 60 zajęcy. Mało to jak na taki stan zwierzyny, gdzie ją pilnują i karmią lepiej, niż gdzie indziej krowy w oborze. Ale z sarnami zwykle tak bywa, że na polowaniu mało ich pada; zazwyczaj idą na flankę albo się przebijają przez nagonkę.

Lecz cóż to będzie ze zwierzyną po tej zimie? Nawet tam, gdzie ją racyonalnie karmią, dużo zginie, bo takich śniegów ja stary a niepamiętam! Już tydzień temu wróciłem z Lisowic i jeszcze nie mogę przyjść do siebie. Dość powiedzieć, że jednego dnia nie polowaliśmy wcale, a jeden dzień znowu był taki, że tylko do drugiej polowano, bo nagonka ustała. Jeszcze tak olbrzymich śniegów nigdy w Lisowicach nie bywało! Wskutek tego mało co padło: 8 dzików, 7 lisów i 28 rogaczy.

Kończę moje sprawozdanie pocieszającem doniesieniem, że u nas — czego już dawno nie bywało — pokazało się dużo kuropatw. Czy jednak wytrzymają do wiosny?

W Łopatynie polowano bezemnie. Wiem tylko z boku, że stan zwierzyny poprawił się, dzików było dużo, na jednem stanowisku p E. zabił cztery. Tylko w wielu miejscowościach sarny giną na motylicę, a na dobitek wilki się u nas poka-

zały. Wczoraj z dworca kolei w Brodach widziano na łąkach wilka – a tu takie śniegi, że niepodobna tropić — i o podjechaniu ani myśleć. *M. Tyszkiewicz.*

Szepetówka, w lutym 1895.

Dnia 16. lutego ruszyliśmy ze Lwowa. Śniegi zawalne — kuryer z Krakowa spóźnił się o 40 minut; obawa straszna, że w Radziwiłłowie spóźnimy się na pociąg, bo wtedy perspektywa noclegu w Brodach — a to mało zabawne. Na szczęście słowiańskie zegarki są „gemüthlich“. Zastaliśmy jeszcze pociąg. Urzędnicy na komorze najgrzeczniejsi. O 2-giej w nocy stanęliśmy w Szepetówce.

Po pysznej sannie przybyliśmy w mig przed cukrownię, obok której nowa rezydencya Szepetowiecka. Tu zda się w zaczarowanym kraju jesteśmy. Cudny, malutki domeczek, cały bieluchny z wypustkami różowemi. Światło elektryczne na zewnątrz i wewnątrz. Murzyn, pysznie ubrany, kapiący od złota, otwiera nam drzwi. Cieplutkie pokoiki, jak najśliczniejsze kabiny najbardziej eleganckiego yachtu czekają nas — takie miłe, takie gościnne, że żyć i umieraćby się tu chciało. Na drugi dzień o 11-tej śniadanie, potem wyjazd na łowy.

Cóż tu wesołości, co ściskania — wszak od lat sześciu nie widzieliśmy się z tą drużyną całą. A druhami ich prawdziwie nazwać warto – bo dęby Białowieży wzrostu i tuszy niejednemu zazdrościćby mogły. Niestety książę Maciej Radziwiłł musiał wyjeżdżać na zaręczyny córki do Berlina; zostali: książę Stanisław Lubomirski, książę Jerzy Radziwiłł, hr. August Potocki, hr. August Zamoyski,hr. Tomasz Zamoyski, hr. Jan Floryan Zamoyski, hr. Antoni Wodzicki (major), hr. Zdzisław Tarnowski. Na ostatnie trzy dni przybył jeszcze książę Hubert Lubomirski, który nie darmo św. Huberta za patrona dostał — wielką bowiem zda się ma karyerę myśliwską przed sobą.

Wyjazd do kniei zaraz po śniadaniu. Pędzim w 7 czy 8 sani. Aura wprawdzie fatalna, bo śnieg sypie jak z wora. Po chwili stajemy w punkcie zboru. Straż myśliwska na czele z p. Majewskim czeka w pysznych białych czapach barankowych. Miny posępne, bo tropienie było niemożliwe. Pierwszy zaraz miot jednak dowodzi nam, że w Szepetówce, taka czy inna pogoda, polować warto i można.

Dawno nie polowałem, więc muszę otwarcie przyznać, że mi serce dziwnie jakoś skakać poczęło, gdy się raptem las formalnie od zwierza ruszać począł, a wszystko to poważny zwierz — bo i dziki walne i rogacze kolosalnych rozmiarów. Drugiego dnia dano znać, że są wilki. Poruszenie niezmierne. Przedewszystkiem bierzemy naturalnie miot na wilki. Mija jeden i drugi kwadrans. Cisza grobowa — huczków prawie nie słychać. Nareszcie pada strzał. Myślę: oho, już po wszystkiemu! Znowu cisza — znowu strzał — to książę Radziwiłł strzelił do rogacza. Patrzę po linii strzelców — spokój — nagle na czwartem odemnie stanowisku dwa strzały nerwowe, szybkie — to hr. Jan Zamoyski morduje kolosalnego wilczurę. Zazdroszczę okrutnie, aż tu patrzę, mój sąsiad hr. Tomasz Zamoyski mierzy, mierzy, kuli się — nareszcie paf! — i odzywa się żałośne wycie wilka. Padły obydwa — piękne sztuki.

Pojechaliśmy dalej. Stałem obok hr. Augusta Potockiego. Istny czyściec zrobił on dzikom; strzelał cały czas, nabił mnóstwo — a dziki tak parły na niego, że nareszcie mu jeden strzelca przewrócił. W którymś z następnych miotów rzeź istną między dzikami zrobił hr. Tomasz. Ubił 5 czy 6 na jednem stanowisku — następnie do dwóch grubych sztuk zrobił dubletę. Tak wszystko się ku niemu pchało, że w końcu nam to nieco zawadzać poczęło. Co prawda, strzelał jak młody bożek.

Tak szło to pyszne polowanie *crescendo* — codzień piękniejsze — aura się polepszyła — aż wreszcie dnia piątego, gdy po raz ostatni potrupiego przy „sztrece“ zagrali, smutno się na duszy zrobiło. Wszystko co się kończy, zawsze smętnie usposabia. Cóż dopiero, kiedy się kończą takie łowy królewskie — a królewskie są takie łowy, bo i zwierza mnóstwo i kompania wesoła i gospodarstwo najmilsi. O wszystkiem, co dolega, zapomina się mimowoli, a gdy jeszcze wieczorem najmilszy książę z Równego począł przy fortepianie dawne nucić piosenki, doprawdy idealnie na sercu się robiło.

Przyjaźń to piękna, może najpiękniejsza rzecz w świecie — a przyjaźń z gościnnością taką serdeczną złączona, to raj na ziemi. To też gdyśmy odjeżdżali z tej miłej Szepetówki, dawnych wspomnień tak dla nas pełnej — dziś jeszcze milszej, bo opromienionej wdziękiem uroczej gospodyni domu — niejednemu wyrwało się westchnienie: „szkoda, że już skończone“, a każdy dodawał w duchu: „Oby znowu niebawem się tu można zjechać!“

Rezultat ogólny był następujący:

Nr. bieżący	Ilość dni	Obecni myśliwi	Miotów	Ubito zwierzyny — Dzików: Odyńców	Wycinków	Loch	Przelatków	Warchlaków	Razem	Rogaczy	Zajęcy	Wilków	Lisów	Razem sztuk	Strzałów
				I l o ś ć											
1	5	Ks. Stanisław Lubomirski	18	1	1	2	.	1	5	8	.	.	.	13	25
2	5	„ Jerzy Radziwiłł	18	1	3	.	.	3*)	7	6	1	.	.	14	35
3	1	„ Maciej Radziwiłł	4	.	.	.	.	.	.	2	3	.	1	6	15
4	4	„ Paweł Sapieha	14	1	.	2	.	.	3	5	.	.	.	8	21
5	3	„ Hubert Lubomirski	10	1	.	.	.	.	1	2	.	.	.	3	9
6	5	Hr. August Zamoyski	18	.	2	3	.	4	9	3	1	.	.	13	29
7	5	„ Tomasz Zamoyski	18	3	4	2	1	2	12	7	2	1	.	22	48
8	3	„ Floryan Zamoyski	11	.	.	1	1	4	6	.	1	1	.	8	15
9	5	„ August Potocki	18	2	2	2	.	.	6	10	2	.	.	18	45
10	2	„ Antoni Wodzicki	8	.	.	1	.	.	1	1	.	.	.	2	15
11	5	„ Zdzisław Tarnowski	18	1	.	.	.	1	2	7	.	.	.	9	38
12	5	„ Józef Potocki	18	1	1	.	.	1	3	1	.	.	.	4	9
		Po polowaniu znaleziono postrzałków dzików	.	.	.	.	.	.	3	.	.	.	.	3	.
		Ogółem	.	11	13	13	2	16	58	52	10	2	1	123	304

*) Dwa warchlaki skłute.

Paweł Sapieha.

Stare Brody, dnia 20. lutego.

(Łowy u hr. Władysława Baworowskiego w Toporowie).

Polowaliśmy pięć dni: 28., 29., 30., 31. stycznia i 1. lutego; pierwsze trzy dni w dwanaście strzelb, a dwa ostatnie w dziesięć. Zabito 53 dzików, 4 lisy, borsuka, 6 danieli, 39 rogaczy i 50 zajęcy. Sarn i zajęcy było dużo, ale przepuszczano je, bo pierwszy strzał do dzika, a te wychodziły przed samą nagonką Do zajęcy zaś tylko w dwóch miotach strzelano. Po naszym odjeździe pisał mi hr. Baworowski, że jeszcze jeden dzień, t. j. dnia 4. lutego polował z synami w Toporowie i zabito 4 dziki; razem więc padło 57 dzików!

Te pięć dni prawdziwej rozkoszy myśliwskiej zostaną na zawsze w naszej pamięci; 30 dzików padło w kniei, a 23 w zwierzyńcu. Ale, żeby dać wyobrażenie o mistrzowskiem prowadzeniu polowania i o zwierzyńcu, opiszę czwarty dzień łowów.

Dnia 31. stycznia o w pół do dziewiątej rano ruszyliśmy do rewiru Toporowskiego. Koło nadleśniczówki wjechaliśmy do prześlicznego sosnowego lasu i zaraz zobaczyliśmy tropy i barłogi dzicze, szczególniej ślady znanego, ogromnego odyńca, którego w całej okolicy zwano „wujkiem“. Wjechaliśmy na główną linię, na 50 kroków szeroką, a ciągnącą się ze dwie mile, aż do Styru. Przejechaliśmy nią ze dwa kilometry, aż do leśniczówki, gdzie nas czekał p. nadleśniczy Werdermann. Nagonka już musiała stać w miejscu, bo zaraz ruszyliśmy w prawo, a gdyśmy ujechali z pół kilometra, kazano nam wysiąść, i p. Werdermann zaczął nas rozstawiać. W tym dniu tylko do dzików strzelano, śrutowych ładunków nikt z sobą nie brał, a było otropionych pięć dużych dzików, między niemi i „wujko“. Rozstawiono nas na czystym zrębie, który wyglądał jak pole orne, na którem widniały gdzieniegdzie pniaki i nasienniki. Przed nami na jakich 800 kroków był wysokopienny las. Każde stanowisko miało parawanik z gałęzi sosnowych; mnie się dostało ostatnie na lewem skrzydle, i to już na łące, o 100 kroków od zrębu a 150 od sąsiada. Przedemną w lewo pole, prosto o kilkaset kroków las, w prawo pniaki, a z tyłu za łąką widniał zrąb

Gdy mnie p. Werdermann stawiał, powiedział, że odyniec lubi łąką wychodzić. Przyznam się, że serce mocniej mi zabiło, pomimo, że w kniei Toporowskiej dosyć napatrzyłem się dzikom — ale to mógł być „wujko“. W Toporowie trąbki nie znają, i kiedy p. Werdermann ostatniego strzelca postawi, macha kapeluszem — rozstawiona straż daje jeden drugiemu znak i nagonka rusza, uwiadamiając o tem strzelców strzałami. Po kwadransie znowu się strzały powtórzyły w środku i na lewej flance, bo dziki muszą wyjść na strzelców w czyste pole. Tymczasem nagonka zbliżyła się już, ale tak cicho, że jej nie było słychać. I oto na horyzoncie pokazuje się czarna bestya — idzie zrębem, po nad łąkę, na mego sąsiada — już jest o 200 kroków, zatrzymuje się, wietrzy, i zwraca w prawo — załamał się — myślę, że zawróci — nie! Idzie truchtem na mnie, a im bliżej, tem bardziej rośnie w oczach... O, święty Hubercie! niechże się pokaże w lewej luczce parawanika... Jest — pokazał się — spokojnie wymierzywszy, posłałem mu expresową kulę z drylinga. Odyniec stanął chwilę, a potem ruszył kłusem dalej, strzeliłem tedy jeszcze z dwóch luf gładkiemi kulami, i gdy prędko wkładałem nabój expresowy — dzik padł bez życia. W pięć minut po nim wyszła jego śladem maciora, i w tem samem miejscu ją zabiłem; warchlak wrócił na nagonkę i przebił się.

Tymczasem hr. Władysław Baworowski zabił maciorę i dobił odyńca, którego p. prezydent Korytowski postrzelił. Ten, zdawało się, że szarżuje wprost na stanowisko hrabiego, który stał z żoną. Była więc chwila pełna emocyi, ale dzik minął stanowisko. Wtedy hrabia strzelił, a dzik wyskoczył w górę i padł nieżywy. A wszyscy i wszystko widzieliśmy, bo to się działo na polu.

P. Stanisław Jabłonowski dał śliczny strzał na 140 kroków do samury, która z dymem padła. Więc jak było zapowiedzianych pięć sztuk, tak i zginęło tyle. Ja strzelałem na 85 kroków, chociaż myślałem, że na 50, i co dziwne, że tylko expresowa kula zadała śmierć odyńcowi, gładkie zaś zostały w skórze. Tłumaczę to tem, że dano mi za małą miarkę na proch do krągłych kul a strzał był dalєki, dzik zaś stary, prawdziwy gruboskórzec.

Dzień był śliczny, słońce świeciło, wiatru nic, na tem samem miejscu zjedliśmy tedy śniadanie i ruszyliśmy do zwierzyńca. Oprócz gospodyni domu była także z nami hr. Leonardowa Starzenska.

Wyjechaliśmy znowu na główną linię, a ujechawszy duży kawał, wysiedliśmy i pieszo szliśmy pół kilometra. Zwierzyniec ma 80 morgów zagrody z żerdzi sosnowych, grubości ręki na 8 stóp wysokich. Linia czysto zamieciona i dosyć szeroka prowadzi do niego, rozdzielając zwierzyniec na dwie równe części, i tworząc dwa mioty po 40 morgów kilkunastoletniego sosnowego zapustu. Jest tam 12 stanowisk o 45 kroków oddalonych jedno od drugiego, z ładnemi półkoszykami naprzeciw siebie, a pośrodku dwie trybuny dla pań, 8 stóp wysokie, z wygodnemi schodami i ładnie przystrojone w zieleń. Zwierzyniec ten jest pomysłem gospodarza, a po mistrzowsku wykonał go p. nadleśniczy Werdermann. Przez parę lat grodząc, karmił tam zwierzynę, i przed polowaniem w nocy zamknął w nim ze 30 dzików i ze dwadzieścia kilka sarn, z których sześć rogaczy padło. Daniele przywiezione zostały z Ostrowa

Gdyśmy weszli do zwierzyńca, założono bramę żerdziami; p. nadleśniczy nas rozstawił i nagonka ruszyła. Wolno było strzelać tylko na lewo i za linię, biorąc lewy miot, a w prawo biorąc drugi. Co tam mam mówić o strzałach, dosyć, że zabawa była królewska! Każdy strzelał do woli. Stanisław Gołuchowski zabił dwa dziki, 3 daniele, ja czarnego wycinka, warchlaka i rogacza, hr. Władysław Baworowski dał kilka ślicznych dubletów. Więcej nie widziałem, ale strzałów było dużo, a więcej jeszcze zabawy. Panie ze swoich trybun wszystko dobrze widziały. Już o zmroku powróciliśmy do domu, i w pysznych humorach zasiedliśmy do obiadu.

Muszę tu jeszcze wspomnieć o dziwnem zdarzeniu z odyńcem. Było to pierwszego dnia polowania na „Linii“ (tak się nazywa rewir), i to w pierwszym miocie. Jak tylko nagonka ruszyła, usłyszeliśmy dziwny ryk, niby byka, i to trwało z kwadrans, aż strzał położył temu koniec. Pokazało się, że to był głos odyńca, który najeżony, z pianą w pysku, wyszedł krokiem na hr. Jerzego Baworowskiego, ryczac straszliwie. Ten myślał, że to ranny dzik, że lada chwila padnie, więc nie strzelał. Ze swego stanowiska strzelił dopiero do niego hr. Leonard Starzeński, dalej niż na 100 kroków i położył go na miejscu kulą expresową pod ucho. P. Starzeński jest wybrańcem Diany, wszystko na niego wychodzi, a co wyjdzie, pada trupem.

W ogólności, w Toporowie bardzo dobrze strzelano, bo na 164 sztuk było strzałów prawie drugie tyle. Ostatni dzień polowaliśmy na „Linii“. Przed zmrokiem zeszliśmy się wszyscy dla obejrzenia rozkładu całej ubitej zwierzyny.

Rozłożona na długość 200 kroków, przedstawiała widok imponujący. Przybrana w zieleń, ułożona była zwierzyna na trakcie, prowadzącym z Toporowa do Ożydowa, naprzeciwko kaplicy, do której drzwi były otwarte i świece przy ołtarzu zapalone. Po obejrzeniu „sztreki“, coś tam ciągnęło każdego, żeby się pomodlić Bogu i podziękować za szczęśliwe „już“, a prosić o „jeszcze“...

M. Tyszkiewicz.

Nowy Mizuń (koło Doliny) w lutym 1895.

(Późny rzut zajęcy).

Na polowaniu w dniu 8. stycznia b. r. zastrzelił tutejszy c. k. strażnik lasowy, Enderl, zajęczycę, z której podczas patroszenia wypadły dwa gruczoły wielkości gęsiego jaja, zupełnie odosobnione.

Zauważywszy takowe jako coś nie należącego do zwykłych patrochów, przedsięwziąłem ściślejsze oględziny i ku niemałemu zdziwieniu wybrałem, po przedarciu niegrubej powłoki, z gruczołów tych dwa zupełnie rozwinięte i delikatną turzycą porosłe młode spioszki. Obydwa były nieżywe, jakkolwiek strzałem wcale nie uszkodzone.

Że ród zajęczy z pomiędzy naszej zwierzyny łownej najmniej zachowuje pewne prawidła pod względem rozpłodczym, a zajęcza płeć piękna wcale moralnością nie przyświeca — jest w kołach myśliwskich powszechnie wiadomem. I mnie się już wydarzyło przed kilkunastu laty skonstatować późny rzut zajęczy w połowie listopada, zaś w czasopiśmie myśliwskiem *Waidmanns-Heil* znalazłem doniesienie o ubiciu kotnych samic w dniu 13. grudnia 1881 i 28. listopada 1882. Lecz, ażeby rzut zajęczy nastąpić mógł w pierwszej połowie stycznia, o tem nie słyszałem nigdy dotąd, chociażby w formie dykteryjki myśliwskiej.

Jeżeliby niezwykły ten objaw nie należał do wypadków wyjątkowych i coś podobnego także gdzieindziej u nas zauważano — o czem oczywiście wątpię — to możnaby wnioskować, że tegoroczna nadzwyczaj łagodna zima — przynajmniej taką jest w tutejszej okolicy — pobudziła energię godową u zajęcy. Zresztą mogłoby to być także skutkiem pewnych niedocieczonych właściwości roku 1893, to znaczy: sądząc analogicznie z rokiem nasiennym u naszych drzew leśnych — mógłby to być nadzwyczaj obfity, nie często się zdarzający rok rozpłodowy u zajęcy, gdyż przyznać muszę, że tyle zajęcy istotnie nigdy tu dotąd nie było, jak w roku ubiegłym, a mieszkam w okolicy tej od lat 12-tu.

Zajęczyca, o której tu mowa, była starą kopyrą, dość skromną, średnich rozmiarów, długość od słuchów do nasady kosmyka wynosiła 51 cm.

Bronisław Brichta
c. k. leśniczy.

Gliniany, w lutym 1894.

(Sprostowanie.)

Przyjmując wyjaśnienie, udzielone mi przez p. Wł. Spaustę w 1. Nr. „Łowca“ z b. r. o różnicy między „kulonem“ a „kuligiem dużym“, muszę tylko sprostować mylne zrozumienie mnie przez szanownego autora, jakobym „dropia strepeta“ i „grubopiętka“ uważał za jedno i to samo. Nie będąc pewnym, jakiego ptaka nazywa autor artykułu „Z krainy lotów“ „kulonem“, wyraziłem przypuszczenie, że „zapewne ma autor na myśli gatunek dropia, może „drop strepet“ albo „grubopiętek“, nie użyłem jednak wyrazu „albo“ w znaczeniu „czyli“, przyznaję się zatem tylko do tej ignorancyi, że brałem „grubopiętka“ także za jakiś gatunek dropia, lecz nie identyfikowałem go wcale z dropiem „strepetem“, który jest mi nieco lepiej znany.

Zakwestyonowałem twierdzenie autora artykułu „Z krainy lotów“, że mylnie zowią „kuliga dużego“, „kulonem“, gdyż ptaka tego nazywają powszechnie „kulonem stepowym“ nietylko myśliwi, ale nazywano go także tak za moich czasów w szkolnych gabinetach zoologicznych i pod tą nazwą figuruje w Muzeum Im. Dzieduszyckich, chociaż, o ile sobie przypominam, w katalogu muzealnym, którego nie mam w tej chwili pod ręką, jest w istocie kilka innych jeszcze nazw jego wymienionych. Ponieważ nazwa „kulon stepowy“ jest w każdym razie, jak widać, także przyjętą, uważałem ją za stosowniejszą nawet, niż „kulig duży“, bo „kuligów“ czy „kulików“ mamy wiele gatunków, i kulik wielkości n. p. dubelta jest w porównaniu z kuliczkiem wielkości wróbla także „duży“. Skoro teraz tak gruntowny badacz jak p. Wł. Spausta udowodnił fachowo, że „kulon“ to „grubopiętek“, a nie „kulig duży“, nie mam nic przeciw temu, ale sądziłbym, że pożądanemby było w obec tego, aby Zarząd Muzeum Im. Dzieduszyckich, tak wzorowo zresztą urządzonego, wprowadził jeszcze małą poprawkę, i przy okazach mających więcej nazwisk, umieszczał na pierwszem miejscu nazwę naukową, a pod nią nazwę utartą, oraz aby zmienił niefortunną w istocie nazwę „grubopiętek“ na „kulon“. Osób obznajomionych lepiej z ornitologią, lub mogących się oryentować według terminologii łacińskiej, jest niewiele, ogół polega na tych nazwach, jakie spotyka w muzeach, nie powinny więc one wprowadzać zamieszania.

Zdaniem mojem, byłoby również bardzo pożądanem obszerniejsze, fachowe dzieło o naszej faunie, zwłaszcza o skrzydlatej, zaopatrzone dobremi, ile możności kolorowanemi rycinami mniej pospolitych gatunków. Dzieło takie rozszerzyłoby zakres wiedzy przyrodniczej u ogółu, ustaliłoby terminologię, a dla myśliwych, rolników i przyrodników byłoby szczególnie pożyteczne — sądzę więc, że znalazłoby i pokup. Możeby autor artykułów, stanowiących „*great attraction*“ „Łowca“, jak „Morituri“ i „Z krainy lotów“ o niem pomyślał?...

K. J.

Rekliniec, 4. marca.

(Wilki w Żółkiewskiem.)

Tej zimy włóczą się ciągle wilki po wszystkich kątach naszego powiatu, ale dotąd, mimo ciągłych polowań, urządzanych na nie w okolicy, nikt nie ubił ani jednego. Udało się dopiero p. Kazimierzowi Puchalskiemu z Dworzec położyć ogromnego starego samca o długości 180 centymetrów w majątku Wieczorki, własności p. Bronisława Langa, który rzeczywiście dokłada wszelkich starań, aby wyniszczyć u siebie szkodniki. Knieja w Wieczorkach należy już dziś prawie do pierwszych w naszym powiecie.

Roman Lewandowski.

Sprawozdania łowieckie.

Z Galicyi.

— W Jabłonowie u p. Florentyny Wolniewiczowej polowano przez trzy dni w styczniu; dwa dni w 19 strzelb, jednego dnia w 12 strzelb. Ubito: 20 dzików, 37 kozłów, 4 lisy i 172 zajęcy. W jednym dniu padło 18 dzików, a z tego w jednym miocie 11; pierwszego zaś dnia polowania padło 23 rogaczy.

Uprzejma gosdodyni, doskonały stan zwierzyny i wzorowe prowadzenie polowania przez nadleśniczego Oborskiego pozostaną na długo w pamięci szczęśliwych uczestników.

J. M.

— W Babińcach ad Krzywcze, powiat Borszczów, własności p. Kornela Mikołajewicza, odbyło się na dniu 27. i 28. stycznia b. r. szóste z rzędu doroczne polowanie, na którem w 10 strzelb ubito 6 kozłów i 290 zajęcy — co z później znalezionemi 13-tu postrzelonemi, pokaźną sumę 303 zajęcy reprezentuje. Zważywszy, że kniejka jest małą, bo tylko około 400 morgów, przeważnie ścianek nad Niecławą położonych, można powyższy rezultat przyjąć jako świetny, który wskazuje o ile do pięknego zwierzostanu przyczynia się staranne hodowanie zwierzyny, a głównie opieka, chroniąca zwierzynę przed drapieżnikami wszelakiego rodzaju. Główne uznanie należy się w tym kierunku miejscowemu leśnikowi p. Prevost, który pod tym względem jest niezrównanym, a szczere „Bóg zapłać“ gospodarzowi polowania za jego uprzejme i nadzwyczaj gościnne przyjęcie.

F. K.

— W Brzeżanach, majątku hr. Jakóba Potockiego, polowano z końcem stycznia i ubito 18 dzików, 26 kozłów, 24 lisów, 431 zajęcy, 10 jarząbków, 5 sów i 1 jastrzębia. Pomiędzy zabitemi dzikami wyróżniały się dwa niezwykłej wielkości odyńce.

Z Królestwa Polskiego.

— W Rychłocicach u p. Artura Trepki, w dniu 14. i 18. stycznia odbyło się polowanie w 12 strzelb, na którem zabito 241 zajęcy, 11 kuropatw i 1 cietrzewia, oraz 3 lisy, jastrzębia, sowę i srokę.

— W Trawnikach u p. J. Michalskiego, dnia 23. stycznia w 16 strzelb zabito 165 zajęcy.

— W Niedźwiedziu u hr. A. K. Wodzickiego, w dniu 30. stycznia ubito w 6 strzelb 64 zajęcy i jastrzębia. Zadymka utrudniała polowanie.

— W Kozłówce u hr. Konstantego Zamoyskiego, w dniu 5. i 6. lutego polowano w 8 strzelb i zabito 230 zajęcy, 4 lisy, 8 rogaczy i 1 kuropatwę.

KRONIKA.

Stada wilków włóczących się i napadających, nie były rzadkością tej zimy. Z końcem lutego napadło takie stado p. Magierowskiego w lasach pomiędzy Birczą a Mrzygłodem. P. Magierowski miał dubeltówkę w saniach i rewolwer sześciostrzałowy. Celnemi strzałami położył wilczycę i dwa wiki, reszta stada pierzchła.

W okolicy Stanisławowa także niemało grasowały wilki. Pewnej nocy puściły się w pogoń za saniami, na których jechali włościanie z Krechowiec do Stanisławowa, zanim jednak sanie dopędziły, wróciły się, zobaczywszy światło w karczmie pod miastem. Na pół żywi z przerażenia włościanie, odetchnęli dopiero, znalazłszy się w karczmie. Tej samej nocy widziano wilki na końcu ulicy Lipowej w Stanisławowie, obok parku Romaszkana, a poprzedniej nocy napadł wilk obok tartaku, na polach Knihynina, włościanina tamtejszego. Włościanin ów schronił się przed wilkiem do budki kolejowej.

„Lubl. gub. Wied.“ donoszą z Hrubieszowa, że od grudnia w pow. hrubieszowskim pojawiło się wiele wilków, mianowicie w lesie ordynackim w Strzelcach i rządowym Matcze. Inwentarz domowy nie ucierpiał wprawdzie od drapieżników, ale wilki poczyniły spustoszenia wśród zajęcy i sarn.

Straszna walka. Dnia 12. lutego po godzinie 10-tej w nocy, napadł wściekły wilk na Zabużu sokalskiem stróża nocnego i poranił go, a następnie rzucił się na kobietę, której zgruchotał szczękę, wydarł mięśnie z policzka, zdarł całą skórę z głowy i wyrwał oprawę jednego oka. Na krzyk stróża i kobiety wybiegł kowal ze strzelbą i jeden mieszczanin. Kowal strzelił do wilka, jednak w strachu chybił i począł wilka okładać lufą. Wilk rzucił się na kowala, wyrwał mu strzelbę i odrzucił o kilka kroków, przyczem zranił kowala w rękę, a następnie odbiegł pewną przestrzeń. W pogoń za wilkim puścił się mieszczanin, uzbrojony niestety, tylko w patyk. Odważny kowal, przewidując nieszczęście zagrażające mieszczaninowi, siadł na sanie stojące pod ręką i w pogoń za wilkiem. Rzeczywiście przybył w sam czas, gdyż wilk obalił mieszczanina i rwał mu mięśnie z twarzy. Kowal nie miał żadnej broni przy sobie — na saniach, któremi przyjechał, była wprawdzie siekiera, ale kiedy sobie kowal o niej przypomniał, fury już nie było, bo woźnica widząc niebezpieczeństwo, drapnął co tchu. Ratując bliźniego, kowal zaatakował kułakami wściekłą bestyę i chwyciwszy za tylne nogi, oderwał ją od nieszczęśliwej ofiary. Wilk rzucił się na kowala i obalił go na ziemię, jednak zaspokoiwszy widocznie swą wściekłą żarłoczność, oddalił się. Omdlałego mieszczanina zaniósł kowal do domu. Tymczasem wilk uciekł z miejsca krwawego dramatu i pobiegł około 10 klm. Aż niedaleko Krystynopola spotkał go gajowy w lesie, strzelił do niego, ale chybił. Wilk jednak biegł dalej. Gajowy nabiwszy tymczasem strzelbę, ponownym strzałem zranił go w kark. Wilk zwrócił się na niego i skaleczył w twarz — jednak chwacki gajowy odepchnął zwierza od siebie i począł walić ciężkim sztućcem, aż ubił. Obdukcya wykazała, że wilk był wściekły, a zarazem sprawdzono, że to ten sam wilk, który na Zabużu pokaleczył dnia poprzedniego 4 ludzi, gdyż miał w żołądku włosy ludzkie i kawałek rzemyka od strzelby kowalowej. Z pokaleczonych czworo ludzi odesłano na kuracyę do Krakowa dla leczenia w zakładzie Dr. Bujwida metodą Pasteura, tylko kobietę, niemal dogorywającą, pozostawiono w szpitalu sokalskim.

Wystawa psów. Austryackie Towarzystwo hodowli psów, postanowiło urządzić b. roku w Wiedniu, w czasie od 4. do 7. maja, wystawę psów, połączoną z próbami zdolności jamników i terrierów, z produkcyą psów wojennych i t. d. Miejscem wystawy będzie zachodnie skrzydło rotundy praterowej, wraz z otaczającą go częścią parku.

Do wystawy dopuszczone będą wszystkie rasy psów, podzielone na 153 klas, między któremi jest 96 klas psów myśliwskich, a 57 zbytkowych. Przygotowania do wystawy są tego rodzaju, że prawdopodobnie wypadnie ona wspaniale. Nagrodami nie będą tym razem medale lub dyplomy niewielkiej wartości, lecz premie pieniężne i cenne nagrody honorowe. Komitet urządzający ma na ten cel około 8.000 koron do rozporządzenia. Zgłoszenia mogą być do 16. kwietnia wnoszone do bar. Lazariniego w Gracu.

We wrześniu odbyć się ma, również w Wiedniu lub w okolicy Wiednia, wystawa niemieckich, krótkowłosych wyżłów czystej rasy, które po 1. stycznia 1894 zostały rzucone. Połączoną ona będzie z próbami zdolności psów (*Feldsuche, Herren-Suche und Jägersuche).* Nagrody naznaczone są od 60 do 400 koron. Urządzeniem wystawy zajmuje się „Austryacki klub krótkowłosy“ (*Oesterreichischer Kurzhaar-Club.*)

W Dreźnie odbędzie się w dniach od 21. do 24. maja b. r międzynarodowa wystawa psów i myśliwska pod protektoratem króla saskiego Alberta. Urządzeniem wystawy zajmuje się Stowarzyszenie

kynologiczne w Dreźnie. Dyrygentem wystawy obranym został p. M. Krichler, redaktor fachowego czasopisma *Zwinger und Feld* w Hanowerze i do niego należy się udawać o bliższe informacye.

O stratach znacznych w zwierzynie łownej w skutek zimy tak śnieżnej, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają, donoszą ze wszech stron. Rozumie się, że w okolicach, gdzie śnieg wielki a długotrwały jest rzadkością, są spustoszenia bardzo wielkie, bo zwierzyna mniej jest wytrzymałą niż u nas, gdzie ciężkie i śnieżne zimy nie należą do wyjątków.

Oto, co pisze jeden z leśniczych ze Styryi: „Z pomiędzy sarn i jeleni pada wiele; w moim małym rewirze znaleziono już 8 sztuk, padłych z wycieńczenia. Zadawanie siana niewiele pomaga; zwierzyna pada przy samych jasełkach z sianem. Wzięliśmy się do karmienia słodem. Mimo to jestem przygotowany na ubytek 80 do 100 sztuk“.

Inny, z rewirów Lasu Wiedeńskiego, tak się odzywa: „Zwierzyna jest na kilka lat zniszczoną skutkiem tej morderczej zimy. Sarn ubędzie może więcej niż połowa! Tropów zajęczych nie widuję już prawie całkiem. Pięć lub sześć rozszarpanych i w znacznej części nadjedzonych kadawrów sarnich znalazłem już do 18. lutego — a ileż to ich kryć jeszcze może śnieg! To, co dotychczas żyje, jest tak wyniszczone i bezsilne, że staje się łatwym łupem lisów. Dziś znalazłem na pół nieżywą siutkę, kazałem ją przenieść do stajni, położyć na sianie i poić ciepłą herbatą. Ledwo się ściemni, uganiają lisy, tak, że można słyszeć ich poszczekiwania. A trudno się nawet na nie z powodu zimna zasiadać, na podchodne zaś nie dadzą się zejść, bo przymarznięty śnieg skrzypi pod nogami. Włóczące się kundusy wyrządzają także wiele szkody“.

W okolicach Gracu znajdywali przechodnie kuropatwy głodem i zimnem do tego stopnia wycieńczone, że dały się brać do rąk i nie mogły uciekać. W bażantarniach lamentują hodowcy, że wrony wyjadają żywność, sypaną bażantom i odpędzają je zuchwale od jadła. Strzelanie i wywieszanie ubitych wron niewiele pomaga; zgłodniała czarna zgraja wraca znowu, nie mogąc gdzieindziej zdobyć sobie pożywienia.

Walkę dwóch lisów miało niedawno temu sposobność obserwować grono myśliwych w okolicy Królewca. Panowie ci, podchodząc ku wzgórzu, usłyszeli naraz jakiś hałas, mający podobieństwo do warczenia i poszczekiwania psów. Zbliżywszy się, ujrzeli na przeciwnym stoku wzgórza, w odległości zaledwie 50 kroków, dwa wielkie lisy w zażartej walce. Powodu jej łatwo było się domyśleć, gdyż w pobliżu walczących trzepotała się na śniegu ciężko zraniona kuropatwa. Walka była tak zażarta, iż myśliwi zbliżyli się na 20 kroków, nie zauważeni przez rozżarte zwierzęta. Oba lisy chwyciły się wzajemnie za gardło i utrzymując się na tylnych nogach, starały się wzajemnie powalić na ziemię. Po paru minutach uległ jeden z przeciwników, powalony na wznak przez zwycięzcę, który rozgryzł zwyciężonemu gardło i następnie jeszcze rozerwał brzuch. Widząc, iż zwyciężony przeciwnik leży nieruchomo, zwycięzca porwał szybko kuropatwę, lecz w tej chwili padł od celnego strzału jednego z myśliwych.

Wydra przed sądem kasacyjnym O ciekawym wyroku kasacyjnym donoszą z Wiednia. Rzecz się tak miała: Przy kopaniu stawu w Marchegg schwytali robotnicy wydrę, ubili i sprzedali. Dowiedział się o tem leśniczy dotyczącego rewiru i zaskarżył robotników i kupca do sądu karnego. Gdy zaś wartość wydry oszacowano na 7 złr., zaskarżył prokurator robotników o zbrodnię kradzieży, a kupca o współudział w tejże. Sąd obwodowy w Korneuburgu uwolnił wszakże oskarzonych dla braku istoty czynu, motywując wyrok tem, że wydra jest zwierzęciem drapieżnem, i jako własność niczyja, może być przez każdego ubitą. Lecz prokurator, który miał inne pojęcie o tem, co jest *res nullius* i o prawie przywłaszczania sobie takiej rzeczy, wniósł rekurs przeciw wyrokowi, a sąd kasacyjny, przychylając się do wywodów prokuratora, zniósł wyrok sądu obwodowego i uznał obżałowanych winnymi przekroczenia kradzieży. Skutkiem tego robotnicy skazani zostali na areszt 24-godzinny a kupiec na grzywnę w kwocie 5 złr. w. a. — wszyscy zaś zasądzeni *in solidum* skazani zostali również na zwrot wartości wydry w kwocie 2 złr. 50 ct. na rzecz właściciela prawa polowania.

Arytmetyka łabędzia. *Hamburger Nachrichten* opowiadają osobliwy, a podobno poparty dowodami wypadek z życia pary łabędzi w dobrach H. w Holsztynie. Trzymana na stawie miejscowym łabędzica zniosła cztery jaja i poczęła je wysiadywać. Ponieważ właściciele majętności — niewiadomo dlaczego — nie życzyli sobie powiększenia rodziny łabędziej, postarali się o usunięcie owych czterech jaj, a podłożenie natomiast 20 jaj kaczych. Łabędzica zgodziła się łatwo z losem, ale łabędź, zoczywszy przybytek jaj, spędził małżonkę, porozbijał jaja i pozostawił z nich tylko cztery. Zgodna małżonka i na to się zgodziła, siedząc dalej na czterech. Atoli, gdy po pewnym czasie wykłuły się z jaj kaczęta, przybrana matka poczęła okazywać zdumienie i widoczną odrazę. Krążyła ona dokoła gniazda pełna niepokoju. Wówczas łabędź zabrał się do zrobienia porządku: pozabijał kaczęta dzióbem i powyrzucał z gniazda.

Bociany pocztowe. Dotyczczas znano tylko gołębie pocztowe, od dziś i bociany pretendować mogą do tej nazwy. Oto, co o tem pisze jeden z właścicieli ziemskich w Prusiech Wschodnich: „Znalazłem się zeszłego roku w posiadaniu dwóch młodych bocianów. Na wiosnę parka bocianów osiadła na gnieździe tuż koło domu. Trzeba nieszczęścia, iż do majątku mego zawitali jacyś miejscy Nemrodzi, którzy zabili bocianicę, siedzącą na gnieździe. Bocian wpadł w taką apatyę, iż siedział osowiały po dniach całych, zupełnie nie troszcząc się o pisklęta. Maleństwa wrzeszczały straszliwie, wziąłem je tedy do domu, odkarmiłem mięsem i rybami. Oswoiły się bociany najzupełniej. Brałem je tedy po jednemu na przechadzkę i wypuszczałem z coraz to większej odległości. Powracały stale do stajni, gdzie miały siedlisko, a obliczyłem, iż milę przelatują w trzy minuty. W czasie mrozów kazałem je zamknąć w stajni. Na wiosnę r. z. zacząłem znów używać tych ptaków za posłańców i zawsze sprawiały się jak najlepiej w tem niezwykłem dla bocianiego rodu rzemiośle“.

Nadesłane.

Posiadam do pozbycia rogacza chowanego, liczącego 9 miesięcy, bardzo ładnie odżywionego — zwierzę nad wyraz oswojone i łagodne, a przytem figlarz bardzo zabawny.

Nie mając odpowiedniego miejsca dla niego na lato, radbym go się pozbyć — podaję więc wiadomość o tem w „Łowcu“ — może się znajdzie nabywca. Przytem nadmieniam, że podobnie jak ów zając, o którym w „Łowcu“ czytałem, że jadł mięso — rogacz mój to samo robi, je nawet kiełbasę i piwo pije bardzo chętnie, co widząc mój sąsiad zauważył: „Ho — ho jak widzę onby mógł być wyborcą.“

Głogów d. 28. stycznia 1895.

J. Mazaraki.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak**
ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel**
ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.